



ROK LIX

Nr 51

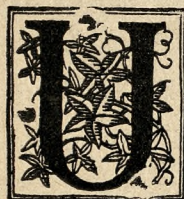
TYGODNIKOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 18 GRUDNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Ś. p. Marja Grossek-Korycka (życiorys). Ś. p. Marja Grossek-Korycka — Janusz Herlaine. Na marginesie „Medytacji” Marji Grossek — Józef Janowski. Z „Medytacji” Marji Grossek — Myśli przedniejsze. Wiersze: Z poematu „Symfonia Wiosenna” — Marja Grossek-Korycka. W przewidywaniu przyszłości — H. Ceysingerówna. O swojskie malowanki — C. Walewska. Wspomnienia dzieciństwa — Francis Jammes — spolszczył N. S. Chryzantemy — M. Maeterlinck — tłum. Wanda Borucka. Kobieta w świecie i w domu — Z. B. Dział praktyczny: Mody i roboty. Bukiećki fiołków parmeńskich. Okrycia zimowe — Well. Nasza Rola — W. N...cka. O wnętrzach mieszkaniowych c. d. — Zygmunt Knothe. Jemiola — Zofia Królowa. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — Dr. Med. Julia Świtalska. O zastosowaniu różnych gęstości syropu — H. Słodka choinka — Pani Elżbieta. Dwanaście willij — Pani Elżbieta. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie”, — C. Chivas - Bazan (tłum. Dr. M. Kastarska). Arkusz wzorów.

Ś. P. MARJA GROSSEK-KORYCKA

(ŻYCIORYS)



rodzona w Krakowie 1868 r., lata dziecięce spędzała w Kielcach. Była córką prawnika, Szczepana Nowickiego, którego ród pochodził z szlachty kresowej, i Marji z Zaremskich. Przodkowie po linii macierzystej — od paru wieków zamieszkiwali we Włoszech i mieli w sobie domieszkę krwi włoskiej.

Wichura losów pognęła ją na Ukrainę, gdzie wkrótce wychodzi za mąż za obywatela ziemskiego Antoniego Grosseka. Po stracie męża i syna, który rokował świetne nadzieje swemi fenomenalnymi uzdolnieniami umysłowymi, przenosi się do Warszawy i bierze żywy udział w ruchu literackim, zamieszczając utwory wierszem i prozą w „Prawdzie”, „Humanście”, „Echu literacko artystycznym”, „Sfinksie”, „Gazecie Warszawskiej”, w „Przeglądzie Warszawskim”, w „Tygodniku Ilustrowanym”, gdzie były drukowane, nagrodzone na konkursie „Prawdy”, poematy: „Hafciarka” i „Apo-teoza”, — w „Bluszczu” i innych.

Z kolei wychodzą książki: „Poezje”, „Medytacje”, „Djalogi”, „Italjana”, „Orzeł oslepy”, „Niedziela Palmowa”.

Brała udział w życiu społecznym, w ruchu teozoficznym. Po powrotnym wyjściu zamąż wiele razy odbywała podróże do ukochanej Italji, dając obfity karm do poezji oryginalnej i tłumaczeń.

W r. 1914-ym zastała ją w Nervi wojna. Rozpętały się burze narodowe w jej sercu. Najbardziej cieszyły ją klęski Rosjan, których zawsze uważała za

największych wrogów naszych. „Wszechmocne imperjum germano-rosyjskie nie stratowało Polski, która od tej pory zaczęła upadać, od kiedy wzrastała Rosja” mówiła. Będąc przypadkowo zaskoczona w Kijowie przez niespodziane wzięcie Warszawy, do której zdążyła, podtrzymywała tu działalność Komitetu Narodowego przez współpracownictwo w „Dzienniku Kijowskim” i „Kłosach”. Jej zaczarowana harfa, głos Rozy Wenedy nie przestawały brzmieć wszędzie, roznosząc płomień miłości ojczyzny między ludy wiejskie i miasteczki. Po powrocie do kraju w r. 1918-ym podczas rocznego pobytu w Duńskiej Woli i dwuletniego w Jędrzejowie pisała sonety, oraz pieśni, nabrzmiałe muzyką, pisała w obrzydliwych pustkowiach, patrząc na budowle, od których widoku można dostać czarnej melancholji, wyspiewywała do szału entuzjastyczne hymny narodowe.

Pisarka z powołania, z rozkazu i wyroku Boga, bo, jak mówi w sonacie: „Sam Bóg na mnie wyrzył piętno: „Ecce poeta!”. Z twórczości swojej była najczęściej niezadowolona...

Wyżej i wyżej... Po przez trupy niepoliczonych podartych rękopisów... Kiedy się już drukowały „Medytacje”, spaliła rękopis tomu II-go, aby go syntetyczniej odtworzyć z pamięci.

„Medytacje” do oceniania przypadły prezesowi cenzury rosyjskiej Sengalewiczowi, który mówił do niej na audjencji: „Nie śpię, nie jem, czytam i nie chcę wierzyć, przepraszam panią, że to dzieło mogła napisać kobieta... To jest dzieło niebezpieczne dla nas,

ale wielkie, i dlatego muszę je puścić... Niech pani mego zdania nie lekceważy, jestem członkiem kilku akademij umiejętności, mówię po grecku, łacinie, jak po rosyjsku..."

Poezję nazywa w „DIALOGACH“ siostrą religii. Zawsze modliły się podwójnie:

Przez piękno ziemskie do Piękną Ducha i przez dobroć ziemską do Dobroci Boskiej. I nie szemrała, kiedy całe sfory chorób i katuszy rzucały się na nią. Bo, jak pisała w jednym z Sonetów, że szatan przez męki ciała i przez śmierć ciała chce wlec na potępienie...

Władając świetnie kilkoma językami, wyszkolona na arcydziełach w oryginałach, wysoko wykształcona różnostronnie, a nadewszystko filozoficznie, ceniła najbardziej inteligencję uczuciową, która „nic wiedzieć nie potrzebuje, bo wszystkiego się domyśli... zamachnie skrzydłami i siądzie odrazu na szczycie wieży, gdzie po stopniach dochodzi pracowicie umysł“.

Wykształcenie i zamiłowanie do muzyki (kształciła się w konserwatorium Warszawskim) odbija się w tych słowach; „Oprócz pojmowania logicznego, posiadamy drugie jeszcze także rozumienie muzyczne, przebiegające drogami skrytych skojarzeń pierwotnych wprost do ich ośrodka, gdzie trąca ono bezpośrednio w celony punkt“.

Uczuciowość i muzyczność — to są dwa punkty ośrodkowe jej organizacji duchowej, a stąd poezji, która nieraz z pozoru trąci rozumowaniem i refleksją, a jest samem uczuciem myślowem i samą muzycznością metafizyczną, nieraz całą podstawą kompozycji wielu pieśni.

Była to w całej pełni organizacja poety, artysty, kobiety z akcentem siły męskiej, potężnej logiki i stanowczego, zdecydowanego rzutu woli. Wybitni ludzie stwierdzali jej różnostronne uzdolnienia w kierunku lekarskim, prawniczym. Do licznych uzdolnień dodać

należy dyplomatyczne. W pierwszym roku wojny światowej wysłała obszerny memoriał do Papieża i Wilsona w sprawie polskiej. Intuicja dziwna, wbrew zdaniom innych, powiedziała jej, że trzeba memoriał ten wysłać do Wilsona, chociaż podówczas Ameryka i Wilson nie mieli żadnego głosu decydującego w sprawach Europy. Z zestawienia treści memoriału i depeesz, notujących zdanie Wilsona w sprawie Polski, widać było wyraźnie posiłkowanie się tym materiałem przez Wilsona na Kongresie Wersalskim.

Sic itur ad astra!

Duch niewieści wyprzedza rozumową inteligencję męską i kładzie stygmaty ogniste do nowych dróg ludzkości...

Trzeba było być albo jej uczniem, albo znienawidzić i dać truciznę.

Dziwną intuicją odgadywali ją ludzie prości. „Ja wiem, pani jest poetką“ — mawiały służące. Pewnego razu miał się zrobić remont w sąsiednim mieszkaniu. Murarz odmówił. — Tej pani to może zaszkodzić, a ja wiem, to — wielka poetka!...

A tak mało miała popularności i posłuchu w cukierniach, salonach, klubach... u ludzi żyjących. A przeczytanych na gorąco pism, ostemplowanych, ponumerowanych.

To też tu jej cięty, jak stalowa klinga tnący, dowcip, najczęściej obiektywny, przysparzał jej wrogów.

I bez przyłbicy występowanie w obronie ideałów przeciwko tym, co leżą w błocie, przypiąwszy sobie kolorowe piórka ideałów do czoła...

Tacy nie mają wielbicieli, nie idą z żadną kliką, ale przeciw klikom — dzielą los z Słowackim, za którego trumną szło dwóch ludzi...

Ale siła fatalna wojujących aniołów po przez grób przeży się i rozkwita spóźnionem uznaniem...



Ś. P. MARJA GROSSEK-KORYCKA

Dnia 17 kwietnia o godz. 1-ej w południe szczupłe grono najbliższych przyjaciół, pod nieoczekiwaną auspicją p. Zdzisława Dębickiego — który zechciał obecnością swoją zaszczyścić pogrzebowy kondukt, złożyło do grobu, na Powązkach ś. p. Marję Grossek-Korycką.

I żeby nie ten ewenement, jaki, składając dowody czujności literackiej, wytworzył zjawieniem się swoim p. Dębicki, kto wiedziałby, że w nieszczęsnym roku pomoru wielkich talentów, obok Żeromskiego i Reymonta, zwałił się pod kośbą śmieci ten wielki talent.

A zdawało się, że zjawisko takiego zapoznania i niedoceny, po praktyce literackiej, nabytej doświadczeniem historycznym, nie powinno się być powtórzyć, że każdy talent odtąd zostanie wyczuły, zarejestrowany i omówiony, choćby popularności nie zyskał.

A tu o ś. p. Grossek-Koryckiej ani słowa nietylko w „Dziejach literatury polskiej“, Konstatego Wojciechowskiego, nietylko w dwutomowych „Dziejach literatury polskiej“ Brücknera, ale nawet we „Współczesnej literaturze polskiej“ A. Potockiego — ani też w żadnych innych studjach literackich. Jedna tylko

mała wzmianka Feldmana, która zresztą brzmi zbyt charakterystycznie: „I czujemy — mówi on — że w tej duszy przewala się nieraz poezja falami. Stajemy zdumieni przed obrazem śmiałym, tonem muzycznym głębokim — ale niedługo: organizacji tej poetyckiej brak poczucia formy.“ Czytelnik pyta się: czemu? I znajduje dalej wyjaśnienie: „Bo rymuje: „orzeł—pozeł“, „gęście — częście“. Ale nie dość tego: w „Misere-re“ pozwala sobie na komenderowanie; „Marsz do ataku. Pyskiem do pyska.“ I tego p. Feldmanowi wystarczy“. Cofamy się—powiada—przed tą krainą, której wchodu takie strzegą dziwotwory“.

Tak, to bardzo charakterystyczne.

Tych dziwotworów kilka wystarczyło, aby nad „przelewającymi się falami poezji“ przejść do porządku dziennego. Ale bo też i nie każdemu dane było wniknąć do dantejskiej krainy wizyj ś p. Marji Grossek-Koryckiej. A tembardziej przeniknąć, jak widzimy, nikt nie potrafi. Tak zwany brak poczucia formy, jakoby stojący temu na przeszkodzie — to jednak tylko osobisty sąd p. Feldmana. Bo oto, w pośmiertnym wspomnieniu p. Dębickiego czytamy między innymi, iż utwory „tej jednej z najwybitniejszych poetek doby bujnego odrodzenia literatury, na schyłku wieku ubiegłego, odznaczały się zawsze skończoną formą i głębszą myślą“:

Cóż za sprzeczności. Dla p. Feldmana brak formy staje na przeszkodzie do zajęcia się utworami p. Grossek-Koryckiej, dla p. Dębickiego poetka zasłużyła na wzmiankę, właśnie dzięki swej skończonej formie.

Tak, doprawdy, poetki tej nietylko nikt nie przeniknął, ale Jej nikt nie zrozumiał i stąd ta dezorientacja w sądach i ta niepopularność wśród literatów i śmiertelnych czytelników.

Śród tych, co pisali o Niej dorywczo — a pisał Drogoszewski w „Przeglądzie Warszawskim“, pisali ulotki pośmiertne Ceysingerówna, Dębicki, Kołaczkowski i jakieś pismo kieleckie, jeden Lange w „Tygodniku Ilustrowanym“ w przystępie pośmiertnego olśnienia Jej aureolą, wyznaczył Jej miejsce właściwe w rozwoju poezji polskiej. Stwierdził on mianowicie iż „gdyby u nas istniał ten obyczaj, jaki istnieje we Francji, że każda nowa grupa literacka szuka sobie „notre ainé“ — to nasi „futuryści“ uznaliby niewątpliwie zmarłą poetkę za swego przodka. Wszystko to bowiem, co oni podają — wiersz swobodny, osobliwości stylowe języków, niespodziana kombinacja wyrazów, brak sentymentalizmu i t. d. — wszystko to u niej się znajduje, zresztą na podłożu duszy b. wzniosłej i szlachetnej“. To „zresztą“ było nieodzowne. Bez niego poetce stałaby się krzywda; jeśli bowiem jest ona istotnie prekursorką najnowszej poezji pod względem językowym, stylistycznym, że tak powiem, formalnym, to nie ma ona z nimi nic wspólnego pod względem duchowym.

Jest istotnie wzniosła i szlachetna, więcej, jest „duszą niepodległą“, jak to zaznacza dalej Lange, podczas gdy oni są płacy, trywjalni, parwenjuszowi,

jak Matho z Salambo. Dlatego też desiderata p. Langego — że nowa generacja poetów odda sprawiedliwość zmarłej i podniesie ją na właściwe bardzo wysokie stanowisko — pozostanie płonną przynajmniej póty, póki, wymarzony przez poetkę Anioł wojujący, nie odniesie zwycięstwa nad panem dni dzisiejszych. Ale jest jedna jeszcze przyczyna, dla której tak zwani futuryści nie mogą Marji Grossek uznać za swą soeur ainée — to, że nie tylko Ona pierwsza w Polsce pisze:“

Zacznę jak kramarz zwabiać publikę.

Do sklepu wewnątrz

Patrzcie: Mam własną marzeń fabrykę

Z nieznanych tęcz.

Ale że nie dorównali jej we władaniu tą nową formą, która ma za istotę irracjonalizm obrazu, jako szczyt wzniosłości, a nowość asonansów dźwiękowych za środek techniczny. Do takich prekursorów nikt przyznać nie kwapi.

A publiczność? Ta Marji Grossek zrozumieć nie mogła. Była Grossek-Korycka, bądź co bądź, rewolucjonistką. Cały swój kunszt pisarski oparła na nowych walorach, tyleż wypracowanych i przemysłanych, co pochwyconych (i natchnionych, z intuicji kobiety, wyczuwającej całą swą istotą podmuch krzyżujących się wolnych wichrów wolnej Polski od morza, aż do gór). Nie chwyta ich ślamazarny mózg, ani żaden ze znanych starych środków — trzeba było stworzyć dźwięczny, — kryształową antenę, nie do wiary zabawną i pokraczną. Nie przyglądaj się tedy, widzu, wierszom Marji Grossek, przyłóż je do ucha i słuchaj — posłyszysz w nich muzykę, którą próżno zechcesz naśladować. Weź później byle wiersz którego poety i porównaj: będzie brzmieć on monotonię, mechanicznie, katarzynkowo.

Dwóch było w Polsce współczesnej poetów, którzy z mowy polskiej potrafili wydobyć: jeden — dźwięki męskie — to Wyspiański (w Cydzie), drugi — dźwięki harfowe, to Marja Grossek.

Rzekłbyś — strzelista dusza, o wyniosłych, szczytowych basztach i wieżycach, w której poetka, jak w tumie klasztornej, zamknęła się od śmierci jedyne, a tak wiele obiecującego syna. W zaziemskie wsłuchawszy się tony, ni to człowiek, ni to zjawa, co patrzy na świat mądrym ludzkim wzrokiem, mówi słowa, które wiążą się ze sobą w sposób nasz niby, a nie nasz, że treści jej nie dojdziesz, znaczenia nie odgadniesz, tylko słyszysz, że brzmią, brzmią orkiestralnie, wspaniale, potężnie, porywająco. — Oto była Marja Grossek. Jeden istniał człowiek, który dźwięków jej i jej „Medytacji“ zapomnieć nie mógł, i, ilekroć wymieniał szczytne prowodyrów współczesności, nigdy Marji Grossek nie pominął, — to Stefan Żeromski. Dziś, gdy Go nie stało, o wszystkich zmarłych w tym roku mówi się i pisze, czy trzeba, czy nie trzeba — o Marji Grossek cicho i głucho.

Ale może to i lepiej...

A jednak, Cześć Ci, altissima poeta! Janusz Herlaine.



NA MARGINESIE „MEDYTACJI“ MARJI GROSSEK

„Medytacje“ — w dwóch tomach o czterystu pięćdziesięciu stronicach — Marji Grossek są, jeżeli nie najcenniejszym, to w każdym razie najcharakterystyczniejszym świadectwem płomiennej duszy i natchnień twórczych tej niepospolitej kobiety i pisarki.

Bujną organizację Marji Grossek przyrównałbym do niezwykle płodnej puszczy podzwrotnikowej, parującej swym niezmiernym bogactwem i swą niesłychaną żyznością pod słońcem znojem jej ducha. Płodność ta przyrodzona jest tak wielka, że każdy niemal pęd myśli, każdy kiełek natchnienia, rozwija się, tęży, rozrasta, zapuszcza korzenie, łączy się z innymi, i oto rychle pnąciami swemi, konarami swemi, całą liściastą i kwiatową nawałą, utwarza wonne, parne, zgęstwione królestwo jej pisarskie. Sama dusza pisarki w tem bujnym, zielonym państwie, ze zmarszczką stężoną na czole, wyciąga ręce ku górze, ku widniejącemu po przez pióropusze drzew skrawkowi błękitu, pragnąc ku niemu ulecieć i z więzów tych się wyzwolić. Ale żywioł przyrody, silniejszy od woli pokoku: poddaje mu się więc znowu, jak Syzyf niestrudzony.

„Medytacje“, oczywiście, nie są filozofją ścisłą, aczkolwiek podejmują „Syntezę Współczesności“. Sama autorka określa tak swe zadanie i rodzaj ten twórczości:

„Medytacja jest sprowadzeniem Świadomości w jej akcie myślenia do prostoty poetyckiej — dlatego to Myśl medytująca osypuje się kwiatem i używa skrzydeł... Ale rozdziewa się ze wszelkich kunsztownych obleczeń... zdejmując ze siebie wszystko na bycie i cudze... wyrzuca z pamięci tabliczki, zapisane pracowitem piśmem swoich wszelakich mistrzów... i do objęcia przedmiotu, jak do kochania, staje naga!... tak, jak ją urodziła Boskość“.

Autorka tedy pragnie dla swych medytacji świadomości prostej, ale za to pełnej, przez co rozumie taki zespół wszystkich władz, który bezpośrednio ujmuje przedmiot. Stan taki ogniskowania wszystkich władz w świadomości bezpośredniej jest tem, co się mianuje stanem mistycznym — w danym razie, z powodu specjalnej organizacji osoby doświadczającej — stanem poetycko-mistycznym. Chociaż autorka zakłada ten stan na akcie myślenia, to jednak celem jej, ani nawet drogą, nie są, jak w metafizyce, czy wogóle w filozofji, przekładanie rzeczy na myśli i procesy stąd myślowe, lecz bezpośrednie ujmowanie rzeczy przez świadomość — raczej więc kontemplacja, niż systemat myśli, co wszystko stanowi o cesze wybitnie mistycznej.

Autorka twierdzi, że ten jej sposób jest jedynym, przez który można pochwytać w przelocie cieni chimery zjawisk, i że tą metodą jedynie mogłaby powstać Wiedza życia, jako synteza indywidualnych syntez.

Pomijając — że zadaniem wiedzy nie jest chwytanie w przelocie cienia chimery zjawisk, lecz ujmowanie ściśle istotnej ich rzeczywistości, zamiar nieokreślonej takiej syntezy syntez zostawić należy zbożnemu życzeniu dusz mistycznych, których stany indywidualne, im samym tylko dostępne, nie mogą nikogo przekonać. Wiedza prawdziwa będzie zawsze posługiwała się przewodnią drabiną rozumu, jako godności najwyższej człowieka, by po niej wspi-

nać się mozolnie do pierwszych zasad i z nich utworzyć Kanon rzeczywistości.

Droga ta jest uciążliwa, jak zdobywanie najwyższych szczytów górskich, ale jedyna dla ogarnięcia zespołu zjawisk i poznania rzeczywistości świata.

Tak więc, „Medytacje“ autorki należy brać naczelnie, jako wyraz bogatej jej organizacji poetycko-mistycznej, i z tego punktu widzenia oceniać ich zalety. Okażą się one w postaci gorącego ducha, dążącego do ideału i trawiącego się szukaniem dróg pewnych, okażą się w postaci obrazowej formy i płodów krasomówstwa. Autorka sprawia wrażenie kapłanki gorliwej u ognia świętych życia, słowem swem i duchem osłaniającej je od zgaśnięcia. Obowiązek ten spełnia rzetelnie.

Mimo wszystko, przez ciąg swych Medytacji, chce ona i zajmuje pewne stanowisko myślowe względem życia i zjawisk. Jakimże jest ono?

Nie jest ono ani konserwatywnem, ani postępowem. Konserwatyzm jest dla autorki przeważnie „stępiłością i gnuśnością myśli zmechanizowanej“, postęp — „naśladowniczymi, najczęściej, skokami po cudzych wyrostach lasu, lub płytką pogonią za świeżem bawidłem“.

Jedynym stanowiskiem słusznym, według autorki, do zajęcia względem życia jest — „jego własne stanowisko — stanowisko ewolucji, które, przeobrażając, zachowuje, — przeobrażając wciąż, zachowuje wszystko“.

„Tylko ewolucjonizm: rozwijanie wieczne tematów metafizycznych w symfonie ludzkiej twórczości, ludzkiego Ducha“. Tak obwieszcza pisarka.

Na stanowisko to możnaby się zgodzić ostatecznie, gdyby w niem był ściślej określony udział czynny człowieka, i gdyby był założony dla niego cel tego rozwijania tematów metafizycznych w symfonie twórcze ducha... Bez wykreślenia bowiem tego celu, bez ustanowienia pewnego prawa postępu i kresu dążeń, „wieczne stawanie się“, chociażby najbardziej twórcze, może stać się bezcelową i wreszcie zniechęcającą zabawą. Duch sam, bez ludzkiego rozumu, bez ogniska jego odpowiedzialnego, nie może być dla człowieka celem jego dążeń, raz dlatego, że bez tej poczytalności ludzkiej byłby on niczem dla niego, powtóre dlatego, że duch ten, będąc w naturze ludzkiej skażonym, wymaga odróżnienia przez rozum swych dobrych własności od złych i przebudowy przez dobre swe własności całej skażonej natury.

I nie „wyjście“ też ducha z natury, nie jego wyzwoliny ładajakie, jak chce autorka, są celem ostatecznym człowieka, lecz odrodzenie się rozumne ducha i całej skażonej natury, stworzenie się nowego człowieka, według obrazu bożego, — pociągnięcie przez ducha rozumnego i odrodzonego całej przyrody oczyszczonej na swe dopełnienie niezbędne, jest celem tym jego szczytnym. Cel ten jest zapisany, jako nieodzowny do osiągnięcia Królestwa Bożego w ewangelji („Oporet vos denuo nasci“, „musicie się zrodzić nanowo“) i zatwierdzony rozumowo w całej filozofji polskiej, a głównie w filozofji absolutnej największego tytana myśli, Wrońskiego. Prześciga on swem ustanowieniem rozumem wszystkie „ewolucje twórcze“ kołującej dziś myśli ludzkiej.

Ale nie róbmy z tego niedobieżenia do mety myślowej sprawy autorce. Jej własna ewolucja, poprzez



warunki i czasy, jest tak wielka, że wystarcza do chwały jej imienia i jej dobrej woli. Wyszła bowiem Marja Grossek w swym rodowodzie umysłowym z kolebki pozytywizmu, tego pozytywizmu, który, podciawszy wybujałe skrzydła romantyczne, nie dał wzamian człowiekowi nawet pewnych nóg. Na wiek jej dojrzewający przypadł wpływ nauki Nietzschego, która upajającą swą powłoką musiała poruszyć mocniej struny jej poetyckiej duszy. Potem przyszedł Bergson ze swą ewolucją twórczą i nieuchwytnym absolutem stanów intuicyjnych. Wylał on na wzburzoną duszę poetki kojący zasób oliwy i najbardziej może ustalił jej niepokojną naturę. Potem jeszcze Rudolf Steiner ze swą mistyką hindusko-chrześcijańską wycisnął pewne piętno na jej duchowości. Wszystkie te wpływy kapały jej duszę, nie sięgnęły jednak jej rdzenia samoistnego: rdzeń ten pozostał znacznie polski, z całą swą cechą znamioną: wielkiego poczucia ideału, wiecznego pędu, wiecznego *v e t a*, wiecznego rewolucjonizmu ducha.

Najcenniejszymi kartami w Medytacjach i punktem ich wyjścia



jest krytyka Nietzschego, przeprowadzona paru nawrotami z wielką przenikliwością. Marja Grossek widzi słusznie w Nietzschem wyzwoliciela współczesnego amoralizmu, całego dzisiejszego nihilizmu moralnego i afirmacji zła. Sprawa ta jest podjęta przez autorkę z całym bolesnym zapałem obrony Dobra i praw moralnych, z całą miłością i współczuciem dla ludzi. Piękne są karty, mówiące o poświęceniu. Jest ona tu prawdziwie kapłanką-strażniczką ołtarzów zagrożonych.

Cały drugi tom poświęcony jest Chrystusowi i sprawie chrześcijańskiej. Strudzona dusza bojowniczką znajduje ukojenie w wierze u stóp Chrystusa—zawsze jeszcze z mieczem anioła wojującego w dłoni. Na niektóre pojęcia autorki, jak np. zwalczania zła złem w duchu pojęć rzekomo chrześcijańskich, nie podobna się zgodzić. Marja Grossek Medytacjami swymi pozostawia po sobie pamięć sympatyczną natury płomiennej, trudem całego życia przedzierającej się ku światłom ducha najczystszy. Za to cześć tutaj odbiera.

Józef Jankowski.

Z „MEDYTACJI“ MARJI GROSEK

MYŚLI PRZEDNIEJSZE

Teoria Nietzschego jest doskonale logicznym wyprowadzeniem wniosków, aż do najdalszych konsekwencji z pierwszych założeń. Tylko, ażeby powziąć te założenia, potrzeba mieć z b o c z e n i e czucia duchowego. Czucie Nietzschego jest w aberacji — rozum w porządku. Dzieło jego przedstawia typowe dzieło nie obłąkańca, lecz z b o c z e n c a, zaliczając się do klasycznych utworów „literatury chorej“.

*

Nietzsche nietylko zdradził pochodzenie z najwyższego chrześcijaństwa z rodu „duchownych“, Nietzsche jest takim odrębnym drzewem, które mogło wyrosnąć tylko na gruncie najwyższego chrześcijaństwa, jako ostatnia jego ewolucja i zakończenie — w Negacji. Bo rdzeniem tego Przeżenia jest rdzeń chrześcijański: przezwyciężyć w sobie naturę, aby wyjść w nad-naturę. Tylko nadnaturalność Nietzschego dąży w przeciwnym kierunku — dlatego, że uczuciowość jego jest z b o c z e n i e m uczuciowości Świętego z p r e d y s p o z y c j i. Nietzsche — to zdemonizowany anioł. I etyka jego jest demonjacką w przeciwstawieniu do chrześcijańskiej, która jest seraficką.

*

Dla życia znaczenie Nietzschego redukuje się do tej skromnej roli: wyzwoliciela amoralizmu, który był już napięty w umysłowości i uczuciowości ludzkiej, który był dzieckiem odrzuconem materializmu. Gdy drzwi zostały ręką Nietzschego wywalone, wszedł przez nie na scenę świata dojrzały i klasyczny amoralizm, zwany popularnie Nietzscheanizmem.

*

Znaczy-ż to, że we Współczesności moralność zanikła? — Bynajmniej. — Wszystkie czyny moralne od najniższych do najwyższych są pełnione przez tych samych krytyków i zaprzeczcicieli — pomimo przekonania i wbrew przekonaniu — z i n s t y n k t u.

Lecz stan ludzkości, pełniącej czyny moralne z instynktu i przekonania — a pełniącej je tylko z instynktu, wbrew przekonaniu — nie jest ten sam.

*

Pozytywizm naukowy dzisiejszy zmienił też zupełnie stanowisko swoje i w etyce. Wyszedł już z „hedonizmów“ i „użyteczności“. Etyki najnowszych pozytywistów opierają czyn moralny na „interesie Życia światowego“, „Życia gatunku“ — dla którego i w celach którego działa jednostka, pełniąc czyn moralny.

Poświęcenie uznanem więc zostało. Pozytywizm złożył tem dowód wielkiej sprawności metod swoich i narzędzia, że, posługując się tylko nimi dokładnie, prześcignął własne swe stanowisko.

Czy tylko pozytywizm uznaje, że wyszedł już ze siebie? Bo odwołanie się do poświęcenia jest wyjściem z pozytywizmu.

*

Programy wszystkich związków wskazują, że dążeniem ich jest wyłącznie perfekcjonizm: wzmocnienie i udoskonalenie duchowo czynnej maszyny ludzkiej.

... Etykę perfekcyjną prowadzą i wielcy zbrodniarze, gdyż bez niej instrument ludzki jest do niczego. I nic wielkiego zrobić nim nie można. „kaut“, wyrabiający w sobie zdolności spostrzegania za jednym rzutem oka, ile jest okien w kamienicy, staje się wyborem materiałem na żołnierza, komiwojażera i złodzieja zarówno.

... Wygimnastykowanie duchowe jest pierwszorzędno znaczenia w życiu — ale etycznym będzie dopiero wtedy, gdy się nim posługiwać będzie Duch Dobra.

Im więcej upada uczucie etyczne, tem więcej powstaje etycznych stowarzyszeń. Ludzkość usiłuje

bronić się od jadu. Ale programy ich i metody są dokumentem idjotyzmu moralnego Współczesności.

*

(Właściwa intuicyjna etyka). Ale jakiegokolwiek są różnice systematów moralnych, Moralność jest jedna:

Moralność jest to podporządkowanie siebie pod Coś Wyższe, to — poświęcenie.

Poświęcenie nie jest tem samym, bo nie jest dla tego samego. Zmieniają się etyki — systemy poświęceń, bo zmienia się ideał, z którym skoordynowane są przykazania.

Człowiek po raz pierwszy wyszedł z siebie dla kochanego człowieka, w obrębie rodziny. Potem był to jego wódz — ród jego — miasto rodzinne — dzieło — Bóg — bliźni — własna doskonałość — kategori czny imperatyw — szczęście ludzkości — nieskończona Ewolucja Wszystkiego.

*

Prawdziwa moralność, wielka moralność: mistyka zaczyna się więc tam, gdzie kończy się wszelki racjonalizm, a zaczyna irracjonalizm nadnaturalnego, tam, gdzie się kończy pełnienie prawa, a zaczyna pełnienie bezprawa względem siebie — odkąd się zaczyna samokrzywdzenie.

Nie można jej czynowi przypisać najodleglejszej interesowności, bo interesowność najmniejsza go kasuje!

Gdzie tylko daje się wyczuć jakiegokolwiek „interes“, najłżejsza „wygrana“ w założeniu — czyn ipso facto przechodzi do kategorii czynu „moralnie obojętnego“.

*

„Czyn moralny“ to obowiązek, pełniący prawo moralne tam, gdzie ustaje wszelka kontrola i nie może być mowy o przymusie! — to sprawiedliwość, związująca się dobrowolnie takim prawem, które na równi z sobą traktuje każdą istotę, bez żadnych dla siebie prerogatyw! — to dobroć „uczynna i ustępliwa“, dająca więcej, niż powinna i biorąca mniej, niż jej należy z prawa. — To poświęcenie, które cierpi dla drugich! — To bohaterstwo, które umiera dla drugich! To Świętość: pokałowanie trędowatego!

*

Cudem Świętości jest to stwarzanie w człowieku nowej moralności czucia, tak przewyższającej wszystkie formy, które zna życie, że tylko jej przystoi z pełną słusnością tytuł nadczłowieka.

Nazwać Genjusz obłąkaniem, a Świętość histerją — był to obłęd Pigmejów, którym się rozum pomieszał na widok Tytanów.

*

Moralność — jest szkołą „nadnaturalnego“: szkołą uduchowienia. Dlatego jeden „czyn moralny“ ma własność rzucać na kolana. Bo tylko on jeden: nadnaturalny! — jest zadowoleniem głębokiej tendencji Wszechświata, przybierającej w człowieku postać wszystkich jego najwyższych marzeń: wyjść z Natury. Stworzyć ducha.

„Iść od gatunku do gatunku coraz wyższego“, łamiąc granice, w których Natura usiłuje zamknąć życie — to jest mus — głęboka tendencja Wszechżycia.

Czynieniu zadość tej Światowej Woli towarzyszy głębokie zadowolenie.

Ale jest że ono zachętą początku?.. najcięższego początku! Jestże biegnącą obok paralełą? Ono przychodzi wtedy dopiero, gdy w porządku fizycznym cierpienie już stępi ostrze swoje i nerwy zetnie śmiertelna onietumiałość.

*

Jeżeli świadomie poświęcam siebie w celach wiecznego Stawania się — to jest to fakt o przyczynie metafizycznej. To ja tym czynem staje się współpracownikiem i częścią tej Siły, która świat tworzy i prowadzi jego ewolucję — unicestwiam się, jako współtwórca, dla dobra mego współdzieła. Zlewam się z Bogiem w świecie, w którym On jest, a w świecie, w którym Go niema, tym czynem ja rozpoczynam moją karierę boga.

*

Afirmacja Zła w przekonaniu Współczesności sprowadziła w niej Zboczenie Instynktu moralnego, o którym pisali i nad którym boleli wszyscy wielcy pisarze moralisci Francji z końca XIX stulecia.

Ja nie wiem, czy stan moralności w naszym czasie jest lepszym, czy gorszym w porównaniu do przeszłych.

Ale to wiem, że Dusza nasza musi być gorszą — ponieważ nasze przekonanie, ponieważ nasze marzenie stało się kultem Zła.

*

Cóż więc jest prawdą? Absolutną? Przedmiotową? Jest to potencjalne wyobrażenie, syntetyzujące w sobie nieskończoność nieskończoności tych odbić w Intelkcie, któryby był Świadomością Absolutu.

Do którego doskonaląca się Świadomość Życia przysuwać się będzie coraz bliżej nieograniczenie, jak suma stron wieloboku do obwodu koła.

Któż się ośmieli stawiać jakiegokolwiek granice tej przyszłej Świadomości — czy ona nie stanie się Świadomością Absolutu?

*

Niewiary nie stwierdza absolutnie nic. Wiarę poświadcza „wiedzenie bezpośrednie“.

...Ta „inna“ inteligencja jest w nas organem wiary.

Wiarę stwierdzają wielkie intuicje całej ludzkości, z którymi każda świadomość, jeśli nie współdziewiczy, to jest na nie odzowna.

Ci zaś, którzy nie poczuwają się ani do współdziewiku, ani do odzowności, nie kasują reguły powszechnej, jak złe matki i dzieciobójczynie nie znoszą instynktu macierzyńskiego w człowieku.

Przestańmy okaleczać sobie dusze i psuć życie wynaturzoną wiarą w wiary umysłowe.

*

Medytacje moje w absolutnej szczerości Duszy samej z sobą, po długim dociekaniu prawdy nazewnątrz i spieraniu się o nią wewnątrz z samym sobą, przy namiętnej — aż bolesnej pragnieniu wiecznego nieskończonego excelsior Wszystkości, nie odkryły mi nic lepszego, nic nawet możliwszego, nad motyw Chrystusowy, rozwijający się w skoordynowaniu z rozwijającą się duszą w zmiennym środowisku jej przebywania...

*



Jego (Chrystusa) Mądrość niebieska, ale zarazem i ziemską, Jego w ofierze cierpiętność Męstwa zimna i twarda, przyjmująca spokojnie wszelkie konsekwencje raz postanowionego, Jego kochający gniew, Jego dumna pokora, Jego nieskończona słodycz ku maluczkiemu, zwracająca do możnych oblicze surowe i wymagające — składają się na postać, w której jest tyleż Miłości, co Mądrości i Mocy, na majestat Tytana, prawdziwego Człowieka — Boga.

*

Chrystus nietylko powiada maluczkiemu: „Nie przeciwiajcie się Złul“, czem ich oddaje we władzę możnych, krępując im ręce i nogi ich sumieniem, ale Chrystus powiada też do możnych: „Oddaj mienie swoje ubogim!“, czem znowu możnych oddaje w moc maluczkiemu, skrepowanych z kolei ich sumieniem. Nie wypowiedział tej apostrofy w zbiorowej formie, gdyż moi za nim rzeszami nie chodzili, ale który go tylko zapytał: „co ma czynić“, zawsze odbierał tę samą odpowiedź.

*

Myslicie, że chrześcijaństwo jest przestarzałe? Ono jest przedwcześnie.

...Trzeba wypracować teraz nowe ideały przystosowane do życia, służące sprawie jego sprawniej w środowisku brutalnym. Nie będzie ono już tak pięknym, z anielskich rysów podobnym do Niego Zwiastunem — lecz lepiej służącym mu jego żołnierzem twardego Ducha i sprawnym w pocie czoła niestru-

dzonym jego pracownikiem. To będzie „przygotowujący drogę Panu“... Interpretacja ta musi uwzględnić szersze miejsce — dla walki i samozachowania elementów Dobra.

*

Zaden cud poświęcenia i miłości nie wzruszy dzisiejszego świata. Jakież to czyn moralny mógłby go zadziwić i porwać, kiedy go nie porywa czyn Chrystusa, kiedy On jest znieawidzony? Ten czyn, którego rezonans przeleciał osiemnaście wieków, zapełniając sobą świat, rzuciwszy na kolana wszystkie dusze i najgorsze i najbardziej zbrodnicze — a wiek nasz zdusił go w sobie i precz od siebie odepchnął! A wyczerpawszy wszystkie sposoby, aby go spospolitować, obniżyć, przyćmić, zlekceważyć i odjąć aureolę, wpadł na pomysł odmówienia Mu prawdy.

...Kwestjonowanie historyczności Chrystusa jest miotaniem się ślepej ku Niemu nienawiści, którą trzeba podciągnąć pod ogólniejsze zjawisko, okropną cechę naszego czasu: nienawiść Dobra!

*

Świat — nasza miłość! świat — nasze dzieło! olbrzymi łom marmuru, przeznaczony nam do wykucia. Nie oddamy go na własność szatanom!

Musimy go urobić dla ducha!

A dochodzić do tego będziemy i krzyżem poświęceń, oplecionym różami miłości, i piorunowych Archaniołów mieczem!

J.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

Z POEMATU „SYMFONJA WIOSENNA”

III.

PRESTO (BURZA)

*Łzawiące oczy wzniosł kwiat do nieba,
Nabożnie się koleba...*

*Lazury były takie pogodne...
tak niezawodne!*

*Kiedy zniemacka smok podpełźnie bury...
Urodził się z maleńkiej chmury
I na słońcu położył łapę...
Jął szybko bic — jął rósć — rozdał chrapę...*

*Cień za nim górą — blask szedł dołem,
Jak płaszcz za uchodzącym aniołem.*

*Ta ziemia w rudawej pościacie
Przy tym nieba nocnym granacie
To była groza w majestacie!*

*Kwiaty schowały w kaptur koronę,
Oczy zamknęły, przerażone,
Szepcząc „pod Twoją obronę“.*

*Gdy ponad nimi, niosąc piach i kwarce,
Huraganowe zawzięły się harc*

AGITATO (WICHER)

*Śmignęły kosmate ogony
Czterech wicherów, we cztery strony,
Poskręcane w zygzak Laokony.*

*Mionęły w obłoki piach z pod stóp,
W ruchomy go skrzyły słup —
I buch! napowrót w piachy...*

*Pochwyciły drzewa za czub,
Wczepiły się szponami w drzew baldachy
Wycie, świst, ryk,
W żalostnej skardze drzewa znikł.*

*Zagibotały się, zaszamotały dęby:
Wichry dopadły je w skok.
Pod wierzch zgięły: kłęby pod kłęby,
Ostrogą w bok...*

*Jak koń, co zarzy
Z gwizdem uciechy w cwał pomknęły szarzy.*

*Patataj!... patataj!... z grzbietu na grzbiet!
Hyc, na grzbiet! — hyc, na grzbiet!
Po lesie heh!...
Truch, truch, truch — w rytmiczny ruch...*

*Stęka drzewo — stuka w niem trzewo —
W galopie jedzie po ziemi brzuch
I spadły! — o tuman liści
Rzuciły się na siebie z pianą nienawiści
Szpon w szponie — ząb zwarty z zębem —
Piers pierśią parły —
Po ziemi się przewalały kłębem —
Żwir i piach żarły,
Wyrzucając kopytami grudy
Roli zasechlej
W ten przykry świt zielono-rudy —
Zaskomlały — i zdechły...*

PIORUN

Rozbijając się po skałistem niebie nocy
 Karłowolny zjazd
 Jakiejś straszliwej karocy
 Po szynach roztratowanych gwiazd...
 Z centra do centra
 Z najwyższych nieba pięt w piekiel pięt
 W podświata stoczył się loch...

A z za chmur złote za nim wybiegały zwiady,
 I szły straszliwych ogni długie kantonady.

DOLCE MAESTOSO (DESZCZ)

Łzy ulgi z nieba padły wielkie, jak groch...
 Cicho, pociemku lkał jakiś słodki szloch.

Mistycznych palców poszedł po liściach stuk:
 Puk... puk..., puk, puk!... puk, puk!...
 „Idzie oczyszczeń — idzie odrodzeń — idzie zmartwych-
 wstań bóg!”

Szeleszcze cicho szech, szech — szech, szech!
 „Gdzie tutaj grzech? — Kto tutaj sech?”
 Plest! Plest!
 „Daję ci z wody — daję ci z ognia — daję ci życia chrzest!”

DOPPIO MOVIMENTO—CRESCENDO

Zatańcowały brylantowe bajadery,
 Z wirem bębena: tam, tam, tam, ręka —
 Stopką uderzy — w kurz się rozśnierz...
 Podały się na wznak z wiatrem srebrne ajery,
 Zadrzały, zaszumiły w etery,
 Szły niemi tajemnicze nieba z ziemią szmery...

Las kryształowych zasnął stę w dół węży,
 Ogony w chmurach — jezora w ziemię przeży,
 Wlizują się w nią z żądzą, która rzeży...

APPASSIONATO
(NAWAŁENICA)

Ciach, ciach, ciach — deszcz siecze — plusk, plusk
 Deszcz siecze — deszcz piecze — lasem stalowych różg.

Tętni!!! niebieska zjeżdża z chmur konnica...
 Co raz kopyta — to błyskawica!
 Co raz natrętniej — co raz namiętniej
 Las dzid z obłoku śmiganych tętni,
 Jak w turniejowej jakiejś pohulańce
 Rzutem z obłoku leca w ziemię lance
 Co raz to częściej, co raz to gęściej
 Stalowych lanc bór srebrny chrzęści...

Lansjer po lancy z obłoku: skok.
 I konie z trok
 Na ziemię: hyc!
 Spieniony plusk,
 Przy blasku piorunnych świéc:
 Łysk, łysk!

Lansjer co krok,
 Konie bok w bok,
 Stęk ziemi, tlok...

W jedną się masę wszystko to złało,
 W żywego srebra drgające ciało,

W rantuch powiewny miękkiego szkła,
 Którym wiatr siepie, jak ręka zła.

LARGO CANTABILE RELIGIOSO.

Wtem czarne wieko chmur jakiś miecz rozetnie.

Przez okrągłe okienko — niebieską studzienkę —
 Z bukietem gwiazd wyjrzało ciche niebo letnie!...
 A w oknie stały dwie Ręce anielskie,
 Jakiejś oswobodzicielskie.
 Które zaczęły rozpierać jego ramy,
 Aż wyszło całe niebo i gwiazd wszystkie gammy.
 Ciche, majowe niebo, tak majestatyczne!
 Że wydała westchnienie Ziemia, balsamiczne!

LITANJA

O Maju wieczny! o, Wiosno nieba!
 Pod której stopą glob się koleba,
 I Węża zdeptyany kłęb.

O gwiazdo morza,
 Jutrzenka zorza,
 W Wiecznego Słońca wświecona rąb.

Za wolność Tobie
 Żywcom przeżywsze w grobie:
 Hozanna! Hozanna! Hozanna.

Wieżo z gości słońcowej —
 Mocy, krusząca okowy.

Domie złoty — przymierza arko —
 Tonących barko!

Pustyni manno —
 Opok fontanno!

Serc nieugiętych forcie —
 Mórz rozsalałych porcie —
 Brońco! w aniołów kochorcie!

Duchowna różo!
 Klejnotów niebieskich kruzol

W niebowstępywań poręczy:
 Moście tęczy!

Zwierciadło Przedwiecznego Oblicza —
 Matko dziewicza!

Leczący śmierć balsamie!
 Furto w niebieskiej bramie...

Gwiazdo zaranna!
 Jutrznio różanna.

Co nas wywiodłaś z przepaści,
 Ze wszystkich piekła napaści:

Hozanna! hozanna! hozanna!



W PRZEWIDYWANIU PRZYSZŁOŚCI



alcząc uparcie z chłodem i niechęcią przeważnej części współczesnego społeczeństwa polskiego, „Komitet Społeczny przysposobienia wojskowego kobiet do obrony kraju“ powoli, ale wytrwale posuwa pracę swoją w kierunku coraz większego jej rozpowszechnienia i rozrostu.

Po bardzo udanej akcji „Obozu letniego“ w Jeziorach pod Grodnem, przystąpiono energicznie do prac organizacyjnych.

Na podstawie uzyskanych nareszcie uprawnień, wydelegował Komitet do Wilna w charakterze instruktorki przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego p. Kudelską, b. por. O. L. K., by na terenie D. O. K. III wprowadzała w czyn zasadnicze postulaty Komitetu. P. Kudelską spotkało w Wilnie jaknajbardziej przychylnie zarówno ze strony władz wojskowych, jak i społeczeństwa. Zwłaszcza miejscowe Koło Polek otoczyło ją opieką, ułatwiając pierwsze kroki i niosąc pomoc w propagandzie idei.

Dzięki tym życzliwym nastrojom udało się instruktorce rozpocząć prace organizacyjne, nie tylko w Wilnie, ale i na prowincji, w Święcianach i innych miejscowościach.

Ten szybki rozwój pracy, oraz konieczność częstych wyjazdów z Wilna, zmusiły Komitet do przydzielenia p. Kudelskiej siły pomocniczej. Stanowisko pomocnicy-instruktorki w Wilnie objęła była legjonistka p. Zawadzka, absolwentka kursu łączności w Zegrzu.

Do Lwowa wydelegowano p. Marję Podhorską, b. por. O. L. K. Zważywszy, że p. Podhorska posiada ukończony kurs szkoły podchorążych i duże zdolności organizacyjne, należy wybór ten uznać za zupełnie szczęśliwy.

I tej instruktorce udało się już nawiązać stosunki ze społeczeństwem, i jest nadzieja, że praca tam rozwinięta pomyślnie, jakkolwiek nagły zgon kuratora okręgu Sobińskiego, zjednanego już dla idei przygotowania kobiet do obrony kraju, stał się narazie dla prac Komitetu pewnego rodzaju tamą.

Na terenie Lwowa funkcjonuje już 6 hufców szkolnych, z których najlepiej postawionym jest hufiec w Snopkowskiej szkole gospodarczej; we Lwowie teren przygotował już poprzednio m. Komitet obrony przysposobienia wojskowego.

Prawdopodobnie p. Podhorska obejmie także okręg Przemyski.

W Lublinie funkcje instruktorki z ramienia Komitetu pełni p. Zofja Nowosielska, b. podpor. O. L. K. i nauczycielka wychowania fizycznego w szkołach lubelskich. Powstały tam już także hufce szkolne w liczbie 7, z których 4 brały już nawet udział w defiladzie, w dniu ogólnego święta przysposobienia wojskowego.

W Krakowie, wreszcie, od d. 1 grudnia funkcjonować zaczęła w charakterze instruktorki Komitetu p. Helena Pawłowiczówna.

Nadto poszczególne hufce szkolne znajdują się we Włocławku i w Zgierzu.

Dalsza organizacja prowincji — w toku.

Co do sekcji warszawskiej, zostającej pod kierownictwem p. Wittekówny, prowadzi ona w tym roku 4 hufce szkolne, oraz 1 hufiec żeńskiej młodzieży akademickiej, w składzie 72 uczestniczek; 2 hufce są w stadium organizacji.

Nadto kurs przysposobienia wojskowego przechodzą 2 drużyny harcerskie i 2 strzeleckie. Z kursów specjalnych wymienić należy kurs sanitarny pod kierunkiem P. Cz. Krzyża. Poza to czyni się starania o uruchomienie dwóch kursów gospodarczych: żywnościowego i mundurowego, a to na razie, celem wykształcenia niezbędnych w obozach letnich podoficerów funkcyjnych.

Absolwentki kursów przysposobienia wojskowego z lat poprzednich tworzą 2 t. zw. „małe kluby“.

Przeszkodą, o którą w dużym stopniu rozbijały się usiłowania sekcji warszawskiej, był przez długi czas brak lokalu. Obecnie zaradzono temu w ten sposób, iż zawarto umowę z zarządem Państw. Szkoły Budowlanej, przy ul. Wspólnej 81.

Zarząd szkoły zezwala na użytkowanie przez Komitet swojej sali gimnastycznej, wzamian, za co Komitet wstawia do lokalu swój sprzęt gimnastyczny i sportowy, ruchomy i nieruchomy, zezwalając szkole na użytkowanie go.

Umowa ta, już zawarta, pozwoli sekcji warszawskiej rozwinąć lepiej swoją pracę.

Tak przedstawia się obecnie działalność Komitetu. Co zaś do zaznaczonej na początku obojętności, a nawet niechęci ogółu do idei przysposobienia wojskowego, to przyczyną jest tu gruba warstwa nagromadzonych nieporozumień, które wyjaśnić i rozproszyć należy.

Bardzo wiele osób przez „przysposobienie wojskowe kobiet do obrony kraju“ wyobraża sobie, iż celem Komitetu jest przysposobienie kobiet do służby garnizonowej, a nawet frontowej.

Komitet na tem stanowisku nie stoi.

I to należy podkreślić bardzo wyraźnie.

Przysposobienie to ma na celu tylko t. zw. „służby pomocnicze“ w wojsku, a więc: sanitarną, gospodarczą, biurową, oświatową, służbę łączności i obronę przeciwgazową.

W takim razie, odpowiedzą nam, po cóż te ćwiczenia, musztry, nauka strzelania itd. itd.?

Otóż należy zrozumieć, że rzeczy te stanowią konieczne przygotowanie do wszelkiego rodzaju służby wojskowej. Musztra, ćwiczenia, dają pewne nastawienie psychiczne, pewne poddanie nie tylko świadomej woli ale i odruchów wymogom karności wojskowej; ujmują jednostkę w pewien regime punktualności i sprawności, bez których praca w wojsku, nawet pomocnicza, zupełnie pomyśleć się nie da. Dają one także do wyrobienia w danej jednostce przytomności umysłu, odwagi, zimnej krwi i ogólnego opanowania, przymiotów, niezbędnych w służbie militarnej, ale również jakże potrzebnych i nieocenionych w zwykłym życiu każdego człowieka!

Nauka strzelania, obrona przeciwgazowa — stanowią niezbędne ubezpieczenie jednostki i jej otoczenia w czasie wojny, nawet bez względu na to, czy pełni ona służbę wojskową, czy też należy do szerokich mas ludności cywilnej.

Co do wychowania fizycznego, na którego szerokiej podstawie rozwijać się powinno przysposobienie wojskowe, budzi ono już dziś mniej wątpliwości.

Rozumiemy już, że doskonałe funkcjonowanie wszystkich organów ciała, zręczność, sprężystość, wytrzymałość, umiejętność walki z żywiołami i siłami przyrody — to są rzeczy niezbędne zarówno dla kobiety, jak dla mężczyzny, i że nie tylko służą zadaniom wojskowym, ale wszystkim w ogóle zadaniom życia,

zaś w pierwszym rzędzie, specjalnie kobiecemu zadaniu, zadaniu macierzyństwa.

Jednakże i pod tym względem sporo uprzedzeń panuje dotąd w naszym dziwnym, bo jaskrawą postępowość z ciemnym wstecznictwem, w świat o poglądzie tej samej nieraz głowy, umiejącem godzić, społeczeństwie.

Drugim zarzutem, z którym się tu rozprawić należy, to zarzut militarizmu.

Pacyfistyczne organizacje międzynarodowe z tego właśnie punktu widzenia potępiły wszelkie próby przysposobienia wojskowego młodzieży obu płci.

Pacyfizm jest niewątpliwie zasadą wzniosłą, nawet świętą, pod warunkiem jednak że stanie się powszechną religią wszystkich narodów ziemi.

Tak dotąd nie jest, i zapewne nie prędko jeszcze wniknie on w krew, wolę i sumienie ludzkości.

Polska, której położenie geograficzne nakazuje najdalej idącą ostrożność, prowadzi politykę wybitnie pacyfistyczną. Ani usposobienie narodu od wieków, ani interes polityczny do wojny nas nie pchają. W interesie młodego naszego Państwa, jego umocnienia się na zdobytych niedawno podstawach, jego rozwoju i odrodzenia, po klęskach niewoli i wojen — są długie lata, może nawet stulecia pokoju.

Jednakże nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że atmosfera polityczna świata przesycona jest prąda-

mi niepokojów, że czajenie się na siebie różnych sprzecznych potęg, musi w końcu doprowadzić do skoku. Polska, jako leżąca na drodze tych sprzecznych prądów, może być, nawet wbrew swej woli, do wojny wciągnięta.

Należy wziąć pod uwagę fermenty nienawiści, płynące z obu stron, od byłych zaborców naszych, którym los wydarł dzierżone długo, przy końcu 18-go stulecia ukradzione obszary. Żądza rewansu, konieczność ekspansji, imperjalizmy nienasycone, jeszcze długo zwracać się będą przeciw nam. I gdy rozpasane elementy instynktów zaborczych zwrócą się przeciw niepodległości naszej, nie obroni nas doktryna pacyfistyczna.

Obroni nas tylko wytrwały heroizm i bezgraniczne poświęcenie wszystkich w narodzie, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci.

Ale, by heroizm ten nie spłonął w wichrze dziejów, jak garść kądzieli, by poświęceniu temu nie wzniesiono tylko długo opłakiwanych kurhanów, by wydały one realne rezultaty, trzeba nie lekceważyć przysposobienia, trzeba zarówno siły fizyczne, jak duchowe narodu na moment taki mieć przygotowane; każdy w swoim zakresie, stosownie do sił swoich i uzdolnienia, powinien stanąć w takiej chwili jak najdokładniej przysposobiony do obrony niepodległości, bez której niema narodu.

H. Ceyssingerówna.

O SWOJSKIE MALOWANKI



dybyśmy chcieli zliczyć, ile pocztówek, nalepek do bibuły w kajetach, aniołów, świętych Mikołajów na choinki, wycinanek z figurkami dzieci małych, dużych, miejskich, wiejskich, śmiejących się, rozbawionych lub zapłakanych; ile typów kwestarzy, dziadów, djabłów, żydków do szopek domowych

sprowadza się z zagranicy, wypadłyby miliony, jeżeli nie miljardy. A wszystko gruba, szablonowa niemieccka robota ze specyficznym pruskim „Sans façon”. Z ordynarną pozą, o rdynarnym konceptem, skandalicznym zestawieniem barw. Nieprzyjemna pospolitość, która znieprawia smak i zamyka drogę bezpośrednim wrażeniom piękna.

Bo piękno jest w prostocie i szczerości. W zygzakach dziecka, odtwarzającego domek tatusia i mamusi tak, jak go widzi. Wodę, łódkę, dym, obłoki. Krzywo, pierwotnie. Okno — trzy linje poziome, trzy pionowe w kratkę. Dym — barokowe kółka, kółeczka z pomylonemi skrętami, ale miłe, bo nigdy nie zatamują ujścia pracy wyobraźni. Jak jej nie zatamuje maska z pod palców dzikiego, nakładana w dniach uroczystości na cześć bożków lub świętego wołu. Dziecko, czy murzyn afrykański rysuje, lepi, barwi się, jak im każe samorzutne poczucie — sztuka dla ich własnej radości — z dużą dozą ambicji, żeby zwrócić na siebie uwagę (pierwociny żądzy sławy). Szablon w sztuce zaczyna się tam, gdzie pierwszym celem twórczych pomysłów jest pieniądz. Kicze — oleodruki t. zw. „landzasty ręcznie malowane” są dla dorosłych tem, czem dla dziecka fabrykaty niemiecckich aniołów, św. Mikołajów, Dzieciątka w żłobku. Dokonywują dzieła zaprzeczania smaku estetycz-

nego. Uczą kochać papierowe róże i tulipany z wosku

Mamy wszak własne, przebogate wzory. Anioły Wyspiańskiego, Mehoffera, Malczewskiego, Tetmajera. Żywcem z płótna, z fresków na plafonach zrobić wielkoświąteczne wycinanki! — Nic nie uroniwszy z barw, linji, ruchu, gestu, wyrazu. Byłyby małe arcydzieła, kształtujące wzrok, smak, wyobraźnię.

— Na jaką ilość trzeba byłoby obliczyć zamówienie? — pyta grafik.

Prozelita piękna w sztuce stosowanej podnosi ramiona, zdziwiony, zaskoczony nagłem, fraszobliwym pytaniem.

— Bo nam nie opłaciłoby się mniej, jak cztery tysiące, najskromniej licząc. — Taka rzecz — rozumie pan — bije koszt tylko większą ilością nakładu.

Prozelita zrozumiał. Czysty zysk. Procent od kapitału. Kubel zimnej wody na głowę wniebowziętą. A pod tym prysznicem wrażenie młynarczyka z bajki, któremu śniła się rusałczana królewna w tafli jeziora, a na jawie skakała przed nim arogancka żaba nad kałużą.

* * *

W grudniu 1925 r. Sekcja Wychowania Przedшкоlnego Wydziału Oświaty i Kultury przy Magistracie st. m. Warszawy posłała do Paryża serje gier pedagogicznych własnego pomysłu i wykonania dla dzieci w wieku przedszkolnym. Prace te zdobyły wysokie uznanie, tak ze względów wychowawczych, jak i dla wysoce artystycznego wykonania. Zabiegliwe pracowniczki Sekcji wyczuły jednak wielkie braki. Należało uzupełnić gry szeregiem obrazków, pocztówek, scen rodzajowych, ilustrujących środowisko dziecka polskiego i charakteryzujących typy w róż-





nych dzielnicach kraju. Jakżeż głęboko w duszę zapadłyby niejednemu małemu cudzoziemcowi słodkie niebieskie oczy, konopiasta główka chłopięcia w zgrzebnej koszulinie z płócien Wyspiańskiego, Chełmońskiego („Ślepiec“), Włastimila Hoffmana, z akwareli Masłowskiego. Albo gibki góralczyk Rembowskiego w cusze haftowanej i ten mały juhasik Ślewińskiego, niby hieratyczny świątek.

Albo zadzierzyste bębny łowickie — bajki kolorowe Stryjeńskiej. Albo krakusy i krakowianki Aksentowicza, Tetmajera. Mamy i typy dziecięce i sceny rodzajowe z życia dzieci w obrazach znanych mistrzów. Mamy w Muzeum etnograficznym okazy ludowe z różnych dzielnic Rzeczypospolitej. Nie sięga jednak do źródeł już gotowych grafik polski. I nie szuka nowych. Nie porozumiewa się z fotografami, różnych województw, aby wspólnym nakładem i trudem stwarzać reprodukcje, tak niezbędne nietylko na użytek miejscowy, ale i dla propagandy zagranicznej.

W październiku 1926 r. ta sama Sekcja Wychowania Przedszkolnego wysłała roboty dzieci polskich do Tokio na wystawę międzynarodową prac dzieci. I znowu próżne poszukiwania obrazków z życia polskiego dziecka, które dopełniłyby całokształt ekspozycji, dając przedsmak sztuki krajowej w stosunku do dziecka.

Album typów dziecięcych, tak bardzo pożądany, można zdobyć w ostateczności pojedynczym wysiłkiem. Osiągnęłoby to jednak cel zaledwie połowiczny. Nam trzeba ogniska, do którego w razie potrzeby każdy mógłby się zwrócić zarówno po okazy typów, jak po pocztówki i wszelkiego rodzaju malowanki z dziedziny życia i sztuki dziecięcej. Dotąd nie mamy nic podobnego. Propaganda w tym kierunku nie znalazła odgłosu.

Bez echa przebrzmiał artykuł w noworocznym numerze któregoś z pism codziennych, „O polskiego anioła“. Jak zalewała, tak zalewa niemiecka tandeta hurtownie i sklepy polskie. Masami naprzykład rozchodzą się t. zw. „główki“, t. j. pieczątki, wyrabiane i sprzedawane całymi arkuszami. Wychowawczynie, pozbawione krajowych wytworów, muszą posiłkować się obcemi dla fabrykowania laleczek bibułkowych. Bądź — aby miały się czem bawić dzieci w sierocińcach i domach wychowawczych, bądź dla ubierania choinek. Do niemieckich szablonów przyczepia się tedy bufiastą spódniczkę, gorsecik, zapaskę, sukmanę, pasiak

łowicki, krakowski, sieradzki, lub staropolski kontusik i czamare. Na szlafmycę niemiecką nakłada się konfederatkę, rogatywkę, krakuskę z czaplemi piórami. Powstaje dziwoląg, prowadzący na manowce.

Albo dawać dziecku pełną złudę prawdy, albo tylko świat bajki. Aniołki z waty, święci Mikołaje, dziadek ze skarbonką — wszystko to ma twarze skandalicznie obce, krzycząco nieprzystosowane do typu naszych środowisk.

Tysiące kajetów ozdabiają uczniowie polscy pieczętkami i kalkomanjami, na których ani sylwetki ludzkie, ani kontury zwierząt, ptaków, roślin — nie mają charakteru swojskiego. Wyczuwa się również dotkliwie brak obrazków i dekoracji do pokoi dzieci młodszych, do sal zabaw i zajęć w przedszkolach, a także w niższych oddziałach szkół powszechnych i średnich. W handlu są tylko wydawnictwa francuskie, angielskie, a przedewszystkiem niemieckie — ilość nieskończona! Obce to i niezrozumiałe dla dziewczynek i chłopczków naszych.

Rażno idzie wymiana korespondencji między dziećmi całego świata cywilizowanego. Przychodzą do nas pocztówki, dające pełny obraz dziecięcych środowisk danego kraju. My — odwzajemniamy się albo widokówkami, które dziecku niewiele mówią, albo zmuszeni jesteśmy posiłkować się kartami zagranicznymi.

Palącą potrzebę więc stanowi stworzenie konsorcjum krajowego, któreby wypełniło tę wielką lukę w artystycznym przemyśle naszym.

Nie trzeba na to wielkich kapitałów. Nawet w tak ciężkiej chwili, jak obecna, znalazłoby się jakieś 20, 30 tysięcy złotych dla zapoczątkowania dzieła. Obrót bardzo szybko pokryłby sumę nakładu i umożliwił rozwój przedsiębiorstwa. Trochę tylko zabiegliwości, trochę dobrej woli!..

Należałoby wejść w porozumienie zarówno z malarzami, jak i z pedagogami polskimi. Możliwe zainteresować szkoły sztuk pięknych. Młodzież malarska może najłatwiej odczułaby świat dziecięcy i stworzyła niejedną kompozycję, dającą ciekawy obraz życia polskiego dziecka.

Konieczność placówki nie wymaga dalszych uzasadnień. Skoro lęka się stworzenia jej kapitał przedsiębiorstw prywatnych, należy bezwzględnie dokonać dzieła zbiorowo.

C. Walewska.

FRANCIS JAMMES

WSPOMNIENIA DZIECIŃSTWA

2 grudnia 1868 r. o 4-ej nad ranem ujrzałem światło dzienne. Urodziłem się w Tournay na uboczu stromego, wieczyście przez rzeźwe fale obmywanego nadbrzeża morskiego, które zwą łańcuchem Wysokich Pirenejów. Miejscem mego urodzenia nie była grotka, ale stare mieszkanie, którego właściciel zwał się Monsieur Cazabat. Nie mieszkał on we własnym swoim domu. Gdzie zatem? I kim-że był? Tego nie wiem. Wiem tylko, że ukazał mi się raz z zapadającą nocą, wietrzną i śnieżystą, w kapturze na głowie i z zegarem ściennym pod pachą.

Pierwsze przecucie czegoś pięknego, które stopniowo przywieść mnie miało do poznania wyższego piękna, i wreszcie do nieskończonej doskonałości

Stworzenia — wzbudzała we mnie aż do piątego roku życia przystań, pełna przezroczyściego powietrza, opływającego wybrzeże, okolone dumnymi szczytami.

Na zboczach stała chata, zwana rajem, a należąca do Monsieur Foucard, aptekarza, który zbierał w okolicy zioła dla warzenia z nich trunków. Uczucie szczęścia przenikało mnie, ilekroć — nawet zdaleka — wspominałem raj ten, gdyż zdało mi się, że tam to właśnie dusza moja spotka się z Bogiem, i że spotkanie to nastąpi w jasnej światłości.

Nie chciałem nigdy powrócić do miejsca pierwszych moich lat dziecięcych, gdyż pamięć o nich, przez czas niezatarta, trwa we mnie, przepojona wielkim blaskiem, tak że postanowiłem raczej czekać, aż

mi śmierć wróci ich chwały pełną rzeczywistość. Życie moje w Tournay trwało lat sześć i sześć miesięcy. Po upływie pierwszej połowy czasu tego opuściliśmy dom mego urodzenia, należący do Monsieur Cazabat, i przenieśliśmy się do Monsieur Mayllou, pisarza sądowego. Później, wiosną 1875 r., ojciec mój, jako sekretarz archiwalny, opuścił Tournay razem z nami.

Mój ojciec tak z postawy, jak z oblicza, był równie piękny, jak dobry. Lecz bałem się go cokolwiek. Tyle wyniosłości spotkałem jeszcze raz jeden tylko, między Kefeldor a Touggourt, u pewnego wodza arabskiego, który w butach czerwono-brunatnych na nogach, spinał jabłkowitego, wiatronogiego rumaka.

Ojciec mój urodził się na małych Antyllach 31 sierpnia 1831 r., jako syn Jana Baptysty Jammes, dr. med., kawalera Legji Honorowej, — którego poźółkłe listy zapoznały mnie z jego namiętnym, mężnym, przedsiębiorczym, upartym, melancholicznym, i — po matce — czułym, rozrzutnym i czarującym charakterem. Oboje byli francuskiego pochodzenia. Wieść głosi, jakobyśmy pochodzili od owego Jammes'a, którego wspomina Sully w pamiętnikach swoich, i który pod Ivry był jednym z najwierniejszych druhów Henryka IV.

Pewna mała dziewczynka, imieniem Blanche, często dotrzymywała nam towarzystwa. Ona i ja spacerowaliśmy sobie razem i, jak to czynią dzieci w „Myślach“ Pascala, wszystko wokoło braliśmy osobście w posiadanie: „Ta skała należy do mnie — nie do mnie“.

Wspólną naszą przyjaciółką była Anetka. Mieszkała ona w Bordes, wiosce, która, jak mi się zdaje, leżała wzdłuż traktu, rozgałęziającego się od stacji kolejowej. Była ona sierotą i miała sześć lat. Żyła z ciotką swoją u dziadka, który był notariuszem. Zabierała mnie do swego ogrodu i czuwała nade mną, jak matka, chociaż oboje byliśmy w jednym wieku. Jakiś ptaszek siedzi na gruszy. Anetka o różowych, okrągłych, jak jabłko, policzkach, pokazuje mi go palcem.

Spacery te i sielskie odwiedziny zachwycaly mnie. Zaś godziny modlitwy w kościele, oznaczały dla mnie stan błogości. Pierwsze świece, palące się poza memi powiekami, które przymknąłem, aby płomień upodobnić promieniejącym gwiazdom, nigdy nie wygasną w ukrytem mem niebie. I wierzę w to, że gdyby ścięto mnie za wiarę moją, to owe małe gwiazdy kościółka, w którym mnie ochrzczono, nie przestałyby pałać poza memi powiekami.

Najgłębszą moją tęsknotą było zbliżenie się do promieniejącego cyborjum; o, być jednym z żywych maków w zbożu Pańskim, które ze srebrzystych kielichów pozwalają wznosić się dymom kadzidla! Tak wiele niegdyś cierpiałam, że nie było mi danem stać się Sługą Bożym, iż dzisiaj jest mi radością, gdy widzę, jak jedno z dzieci moich, które jest obecnie w tym wieku, co ja ongi — wstępuje po stopniach małego swego ołtarzyka i, przybrane w złocistą komżę, obraca się i błogosławi mi.

Ojciec mój, mianowany poborcą w Sauveterre-de-Gironde, udał się tam, sam gdyż stanowisko to nie odpowiadało mu wcale ze względu na nas i spodziewał się uzyskać przeniesienie dość szybko, aby uniknąć kłopotów niedogodnej przeprowadzki. Pozostawił zatem siostrę i mnie w Pau (u dziadków), skąd jeździliśmy w krótkie odwiedziny do Orthez, gdzie moje babki cioteczne, Klemencja i Celamira, zamieszkiwały stare domostwo, które przyjęło było, jako dzieci małe, ojca mego i brata jego, Oktawjusza, w chwili przybycia ich z Guadelupy.

U dziadków sypiałem na kufrze z drzewa kamforowego, okutym miedzią, który tak był olbrzymi, iż podobnie wielkiego nie widziałem nigdy. Przywieziony został z Indyj przez Marcelina Bellot, brata mej prababki po kądzieli. Nie potrafił on z wód Gangesu wydobyć złota, jakie w nich spoczywa, ani z bogactw w kruszec Himalajów — djamentów, ni szmaragdów. Gdy niefortunny ów podróżnik powrócił do rodzinnego domu, widzieliśmy, jak z kufra swego, tajemniczego, niby koń trojański, — wydobywał tylko chusty kaszmirowe, które zwykł był pielęgnować, swoje kotary i parę pończoch jedwabnych, które nigdy nie zdradziły swej historii. Zasnąłem więc w Pau na niezwyklej tej pamiętce, w pokoju, którego tapeta doprowadzała mnie do wściekłości, gdyż błękitne jej pasma, ułożone w koślawe czworokąty, zdawały się rozszczepiać, gdy spojrzeć było na nie pod pewnym określonym kątem. W szufladzie gotowalni, pachnącej mydłem, spoczywały porzucore, dwie długie kryształowe łyżki, przyozdabiające ongi uszy ciotki mej po matce, kiedy-to ona, dumnie krocząc przez Place Royale, podbiła wielką swą urodą serce srogiego Meksykańczyka, który stał się wujem moim.

W owym czasie, kiedy czekaliśmy nato, aż ojciec mój zabierze nas do siebie, gdy tylko otrzyma trwalsze stanowisko od tego, jakie zajmował obecnie, — w dalszym ciągu polecono mi prowadzić w Pau nauki początkowe, które rozpoczęłam w Tournay. Uczęszczałam do szkoły panien Letourneau, trzech starych pannic, o których głosiła wieść, jakoby wyuczyły czytać Marszałka Bosquet. Rue des Arts, zniekształcona obecnie, była jedną z tych cichych, małych, starych uliczek, które w słońcu pieką swoje czepce szyfrowe o kształcie strąka.

Przechodniom pokazywała ona kilka obrazków z Epinal, które zdała się odczytywać okularowemi szklami swych fasad domowych. Ale to najcudowniejsze, co ukazywała mym oczom, to były, naprzeciwnie szkoły panien Letourneau klejnoty sklepu ze starzyzną. A z klejnotów tych najkosztowniejszym, tym, którym chełpiła się ulica, który nosiła, niby brelok, tym, który sercu memu dał bić, w bezimiennem pragnieniu, któremu dorównać nie mógł żaden szmaragd z Tysiąca i Jednej Nocy, — zdała mi się biedna mała puszcza botaniczna. Objasniono mi jej użytek i opowiedziano, że w nią to zbiera się owady i kwiaty Boga, które żyją w chłodzie lasu i na łąkach, ociekających słońcem. Zatem istnieli ludzie, obdarowani łaską, którzy przedmiot taki mieli na własność, którzy wychodzili w pole, aby zbierać jelonki i niezapominajki! Ach, pragnąłbym, żeby krzyk rozsądził piersi moje i odsłonił życzenie niedorzeczne posiadania tej cudownej rury. Ale nadarmo nawoływa mnie ona przez długie miesiące całą mocą swego leśnego koloru. Nigdy nie poszedłem za jej wołaniem. Rodzice moi, którzy nie byli bogaci, zawczasu nauczyli mnie miarkować moje życzenia. I naprawdę, istnieją na tym świecie cuda, które godne są tylko księcia.

Mój anioł opiekuńczy chciał zapewne ukoić zieloną gorączkę, którą wsączała we mnie puszcza Dilleniusa, i podszeptął rodzinie mojej, aby sporządziła dla siostry i dla mnie dwie lekkie siatki na motyle, których gaza wydawała się tchnieniem powietrza, muskającego wodę.

Któregoś popołudnia zabrano mnie ze szkoły Letourneau. Udaliśmy się na poszukiwanie kwiatów uskrzydłych. Przybyliśmy w aleje Morlaàs. Powaga uczonego listowia przejęła mnie dreszczem czegoś niewypowiedzianego wieczystego. Gdzież jest ów gorący upragniony owad? Czyż nie odpowie na wo-

łanie mojej tęsknoty, która wzywa go z bardziej piekącym ogniem, niżli płonie nim niebo, którego czerwienią okala wiazów wycięcie? Nie było widać motyla, i siatka moja opadła, więdnąc. Jednym z najmilszych wspomnień moich z owego czasu są odwiedziny u siostry Marceliny w jej klasztorze. Rodzina moja znała ją oddawna, gdyż udzielała ona znakomicie nauki zarówno matce mojej, jak i ciotce, które przybyły z Prowancji do Mauleon. Tchnęło od niej świeżością strumyka, szemrzącego pośród mięty; tchnienie owej łaski, która najzatarwadszyszych przemienia w wierzących. I gdybym nie miał głębszych dowodów wiary mojej, myśl o bogobojnej tej kobiecie i o kilku innych, jej podobnych, wystarczyłaby, aby przekonać mnie o prawdziwości Kościoła. Niekiedy, podczas Komunii św., przywołuje dusza moja orszak dziewczyn, i one wspomagają ją.

Siostra Marcelina zyskała sobie w zakonie Bernadettes Soubirous. sławę szczególnej świętobliwości. I kiedy klasztorowi brakować zaczęło żywności, działały się cuda, które mniej są rzadkie, niż przypuszczają niejedni, niedość gorąco wierzący. Żywiła ona serdeczną przyjaźń dla babki mojej, Eleonory, która jej prawdziwie godną była, gdyż i ona była oblubienicą Chrystusa, jakkolwiek w gronie własnej swej rodziny. Biedna babka! Była ona częścią ciemnej ciemności, i zrazu ledwo dała się odróżnić, gdy modliła się w swoim pokoju przed krucyfiksem z poźółkłej kości słoniowej. Ale połysk jej białych włosów odcinał się spośród cienia, jak aureola świętości. Tchnienie namaszczenia owiewało ją, kiedy, zawsze czarno ubrana, sięgała po ciemne grono swego różańca, aby wytłoczyć zeń niebiańskie wino, które wznosiło jej serce.

Od najwcześniejszej mej młodości usiłowała zgotować mi radość, lecz czyż przypuszczała, że rozrywki, które mi dostarczała, zwykle tak lubiane przez dzieci, napełniały mnie politowaniem dla tych, którzy je wynaleźli? Drzewo, kłoniące się ku wodzie, świerszcz, wszystko to — dziękować Bogu — nie rozczarowało mnie nigdy.

Ale wszyscy ci kuglarze ze swemi sztuczkami!...

Z podróży, którą matka moja, siostra i ja przedsięwzięliśmy w Pau do St. Palais, dokąd ojciec mój został przeniesiony, zachowałem jeno w pamięci przebyta rzekę, po której krążył prom, jaki widuje się tylko jeszcze na rycinach staroświeckich rebusów. Naładowano nań celem przeprawy wozy i konie, ludzi i rzeczy.

Poczem, aż do celu drogi naszej, znów podróżowaliśmy łądem.

Ledwo zdrapaliśmy się ze stopni kocza pocztowego, gdy podszedł do nas wielce uprzejmy jegomość i przedstawił się: „Madame, jestem M. de Lastours, dozorca hipoteczny. Małżonek Pani zaraz przybędzie. Jest tylko dwa kroki stąd oddalony. Przed chwilą wziąłem kąpiel leczniczą“. Można było uwierzyć, że jest się przeniesionym między kartki podręcznika. I, po wygłoszeniu tego wszystkiego, pełen dumy, wysuszył M. de Lastours nieliczne swe włosy, których brak wynagradzała dość gęsta broda i bujne wąsy, których koniuszki tworzyły haczyk poniżej burbońskiego nosa, wyskakującego z niekształtnego czoła. Czoło to było jednak rocznikiem rejestrów i domen.

Około r. 1876 było St. Palais małym, niezepsutem jeszcze przez kolej żelazną, miasteczkiem, nawadnianem przez Bidouse i Joyeuse. Szarozielona i ospała

Bidouse, której zbite sitowie sprzyjało o zmierzchu gromadzeniu się i kwakaniu żab, w niczem nie przypomina potoku, który u źródła swego w czarnym wirze kotłuje się, huczy i pieni. Omywa ona od tyłu cały szereg domów, z których jeden myśmy zamieszkiwali.

W dół rzeki od domu naszego tama młyńska upiększała krajobraz. A na prawo od tej tamy młyńskiej w stronę jednego z pól, które tworzą brzeg przeciwny, sterczała wielka, wysoka skała, z której horda młodych basków śmiało rzucała się w wir, zwany przez nich, jak mi się zdaje, „romoréno“. Dzisiaj jeszcze widzę, jak każde z dzieci, lśniące, niby siwa ryba, rozpędza się, skacze, jakby z trampoliny, i znów pojawia się na powierzchni, z nogami skrzyżowanymi, stopy kierując w głąbię. Po przybyciu naszym do St. Palais siostra moja umieszczona została, jako przychodnia, u dames de Lorette, ja zaś w szkole Abbé Duc. Wtedy to nauczyłem się poznawać, ale nie cenić, charakter większości nauczycieli. Dzisiaj jeszcze, więcej niż po latach czterdziestu, ten sam mur powstaje między nami, gdyż naogół nie rozproszyła się nieufność moja, chociaż niektórzy profesorowie przez miłą swą umiejętność i sympatję, z jaką odnosili się do mnie, pokonali niegdyś serce moje.

To zadowolenie z podejścia nowego ucznia, które jest jedną z ich manij, to pragnienie upokorzenia biednych malców, przyzwyczajonych do wyrozumiałości domowej, doprowadzenie ich do łez; zły humor, nagromadzony przez małżeńską czy jakowąś inną sprzeczkę, i potem wyładowany na nich — oburzały mnie zawsze. Ograniczoność ta, z kolei pojmująca swoją własną; ten matematyk, który uśmiecha się drwiąco i karze was, gdyż przekładacie tłumaczenie z łaciny ponad rebus, rysowany przez szyftem kredowym na czarnej tablicy; ten pięćdziesięcioletni „uczeń“, który śmieje się głośno, gdyż odpowiedzieliście mu, że Wergiliusz jest autorem „Metamorfoz“; ten geograf, którego ogarnia zdumienie, gdyż nie zdradza zainteresowania w spoglądaniu na małe kółka, które wyrysowane są wzdłuż wijącej się linii; ten nauczyciel historii, roszczący sobie prawo do wzbudzania waszego entuzjazmu dla klauzul, układu pirenejskiego, — wszystko to i wszyscy ci ludzie nie warci są złamanego grosza wobec kosa, gwizdzącego na płocie.

W 1876 r. ojciec mój odebrał mnie ze szkoły, prowadzonej przez M. l'abbé Duc, i posłany zostałem do szkoły początkowej Monsieur Sabre. I w tej oto szkole doznałem łaski, namaszczonej mnie na poetę, na tej — tu ławce, na lewo, naprzeciwko drzwi wejściowych. Otwarta książka leży przede mną. I nagle, nie pojmując w jaki sposób, widzę i słyszę, że linje jej są żywe, że ciągle dwie naprzemian odpowiadają sobie rymami, jak ptaki, albo kosiarze, i że to, co opowiadają, zachwyca nas, jak istoty i rzeczy, nie potrzebujące wyjaśnienia. W wierszu tym pojawia się pies, który zwie się Mouffetard. I choćbym miał się narazić na szyderstwa ludzi trzeźwych, wyznać muszę, iż wierszami, które zadano mi do wyuczenia się na pamięć, tak byłem wstrząśnięty, że, kiedy ojciec mój polecił mi wieczorem, abym wyrecytował je w kącie starego kominka, — wybuchnąłem gwałtownym szlochaniem i zadania mego nie zdołałem wypowiedzieć do końca. Wtedy to darowały mi niebiosa ową włócz-

nie, która jest jak sztylet, ostra i tępa, niska i wzniosła, smutna i błoga, ostrzejsza od dzidy, miotanej przez dzikusa, i słodsza od miodu. Wkrótce nauczyłem się władać nią. Mego ojca zdumiewały próby moje, i okazywał mi więcej jeszcze miłości, niżli kiedykolwiek dotąd. Oczy jego badawczo zatapiały się w moich. On, co sam współodczuwał z poetami, w oczach moich poszukiwał zapewne owej chmury, zacieniającej dnie tych, którzy — niechaj będzie Mu chwała — noszą znak Jego.

Jedno z najgłębiej poetyckich wzruszeń zawdzięczał — po przypatrywaniu się wzgórzom pod Tournay, powrotowi trzód, który dla mnie łączy się zawsze z czarem jesieni. Kiedykolwiek ujrzałem pasterzy i owce ich — nie było razu, aby nie zadrżało me serce. Ich fujarki podobne były ptakom ze skromnymi piosnkami, które poszukiwały schronienia w duszy mojej, przemienionej — zda się — w ciemną stodołę, abym mógł przyjąć je wraz z wszystkimi jagniątkami Boga pod swoją opiekę. Niewiele wówczas kosztowałoby trudu skłonienie mnie do zawodu pasterza, przecież z natury już byłem arka Noego.

Na jakież nie polowałem zwierzęta, budując potrzaski, aby je schwytać! I jakież szarpał mną ból, gdy dzikość ich nie godziła się z życzeniem mojem, aby uczynić z nich przyjaciół, dzielących wspólnie ze mną radość i cierpienie. Jeże, żabki zielone, sroki, dzięcioły, jaszczurki, glisty, żuki brały udział w przemianach mej duszy. Całe dnie spędzałem, czatując w rowach parku pani de Braucion na myszy polne i zgoła

niemożliwe świstaki. Wspominam pewien poranek, kiedy z bijącym sercem czyhałem na kosa, odrętwiałego od chłodu. Ale sympatja ta biednym owym stworzeniom nie zawsze wychodziła na korzyść, gdyż płomienne moje pragnienie za wszelką cenę trzymania ich w rękę — nierzadko nakazywało mi zamienić potrzask niewinny na żelazo, łuk i nawet na fuzję.

Dziś jeszcze zachowałem upodobanie do broni i myślowstwa, i noszę w sobie to przeciwieństwo: iż kocham zwierzęta, jednakże nie mogę oprzeć się dzielnemu instynktowi strzelania do nich w borze i polu. Być może, do radości, spowodowanej moją zrećnością, dołącza się jeszcze dzika namiętność jedzenia dzielnicy, która, obok ślimaków, wydaje mi się wspólniejsza od ambrozji. Za tę zachciankę częściowo odpowiadzialne są też gołębie-grzywacze, które jesienią zaludniały niebiosy leśne.

Kilku przyjaciół ojca mego, między innymi notariusz Brunus, zezwalało nam przyjmować udział w ich ubiciu. O tej też porze w niezbyt oddalonej od traktu dąbrowie oddawaliśmy się z zapałem poszukiwaniu grzybów jadalnych i drzewnych narośli. Na grzybobranie udawaliśmy się w towarzystwie panny Ferraud, córki starego doktora, któremu mój dziadek raz pewnego zerwał na spacerze niespodziewanie perukę z głowy, otwierając parasol, chroniący od słońca.

Tak to odbijają się we mnie objawienia jesieni, jako szereg obrazów, które łączą w sobie wdzięk wiosny i śmierci.

Spolszczył S. N.

M. MAETERLINCK

CHRYZANTEMY



o roku, kiedy wybija ich godzina, następująca po godzinie śmierci, ostatnia najwspanialsza godzina jesieni, odwiedzam je nabożnie tam, gdzie mi je ujrzyć pozwoli przypadek. Zresztą, jest kwestją podrzędną, gdzie nam je dobra wola podróży, lub stałego pobytu, ukazuje. Są to kwiaty najbardziej powszechnie, najrozmaitsze, oczywiście — ale których różnorodność i niespodzianki są, jeśli się tak można wyrazić, przewidziane, jak różnorodność mody w niewiadomym roku.

W jednej i tej samej chwili, podobnie jak dla jedwabi, koronek, kosztowności i uczesań, pada hasło w czasie i przestrzeni z ust utworzonych z nieba i światła.

I równie uległe, jak najpiękniejsze kobiety, jednocześnie, we wszystkich krajach i pod wszystkimi szerokościami, są one posłuszne świętemu nakazowi.

Wystarczy więc wejść do byle którego z tych szklanych muzeów, gdzie, pod harmonijną osłoną listopadowych dni, rozściełają one swoje, nieco żalobne, bogactwa. Wyczuwamy natychmiast, jaka jest w tym szczególnym i uprzywilejowanym świecie myśl przewodnia, przepisana piękność, sumienny wysiłek tego roku. I zapytujemy siebie, czy ta nowa myśl jest głęboką i prawdziwie niezbędną myślą słońca, ziemi, życia jesieni, lub człowieka.

* * *

Wczoraj więc podziwiałem ten coroczny przepyszny obrzęd roślinny. Jest on ostatni z tych, które

grudniowe i styczniowe śniegi szerokim pasmem snu i uspokojenia oddzielają od wiosny, od upajających uroczystości świąt odnowienia, pełnego sił, choć ledwie widzialnego lutego, który szuka światła.

Pod obszernymi, przezroczystymi kopułami znajdują się tam te szlachetne kwiaty miesiąca mgieł. Stawiły się co do jednej na królewskiej schadzce, wszystkie pełne godności wróżki jesieni, których postawy i taniec zdają się być unieruchomione magicznym słowem. Od pierwszego rzutu oko, które je zna i potrafiło się nauczyć je kochać, z przyjemnością stwierdza, że czynnie i sumiennie dążą do swego niepewnego ideału. Wróćmy na chwilę do ich skromnych przodków, spójrzmy na dawniejszy ubogi pełnik, na rdzawe i brunatne kwiatki, które się jeszcze smutno uśmiechają na skrajach ścieżek, pełnych martwych liści w skąpych wiejskich ogródkach. Porównajcie z nimi te nagromadzenia, te śnieżne runa, te dyski i globy z czerwonej miedzi, te kule starego srebra, trofea z alabastru i ametystu, ten cudowny szal płatków, zdających się chcieć wyczerpać do samego dna świat jesiennych kształtów i odcieni, które zima powierza głębiom zasypiających lasów. Przejrzyjcie wszystkie te nieprzewidziane rodzaje i zachwał gatunki: podziwiajcie i sądźcie.

Oto, na przykład, najcudniejsza rodzina gwiazd: gwiazdy płaskie, gwiazdy promieniste, gwiazdy przezroczyste, gwiazdy zwarte i mięsiste, drogi mleczne i konstelacje ziemi, odpowiadające konstelacjom lazurowym. Oto pyszne egrety, oczekujące djamentów rosy; oto, zawstydzający nasze marzenia, władczy poemat

nieistniejących uczesań: Szalone i cudowne kędziory, splecione promienie księżyca, złote krzaki, promieniste wichry, loki pięknych roześmianych dziewcząt, ściganych nimf, namiętnych bachantek, omdlewających syren, chłodnych dziewic, rozbawionych dzieci, które odbierały pieszczoty spokojnych, lub drżących rąk aniołów, matek, faunów i kochanków. A oto mieszanina dziwolągów, których niepodobna zaklasyfikować: Jeże, pająki, cykorje, ananasy, pompony, rozety, łuski, tchnienia, opary, kaskady lodu i śniegu, płynące masło i mleko, grad drgających iskier, skrzydła, wybuchy, puchy, miąższe, naroście, sierść, stopy i race, strzały świetlne, deszcz ognia i siarki.

* * *

Teraz, kiedy kształty uznały się za zwyciężone, chodzi o zdobycie krain zakazanych kolorów, utajonych odcieni, których jesień zdaje się zabraniać wyobrażającemu ją kwiatu. W rzeczy samej, udziela mu szczerze wszystkich dostojęństw zmroku i nocy, wszystkich bogactw winobrania. Oddaje mu do rozporządzenia całą poźlocistą robotą deszczu w lesie, wszystkie srebrzyste wyroby mgły na równinie, mrozu i śniegu w ogrodach. Nadewszystko pozwala mu czerpać dowoli ze skarbów martwych liści i dogasającego lasu. Upoważnia go do przystrajania się złotymi cekinami, medalami z brązu, srebrnymi kolczykami, błyskotkami z miedzi; oddaje mu czarodziejskie pióra, przydymioną ambre, palone topazy, zapomniane perły, przymglone ametysty, przepalone granaty. Przekazuje mu wszystkie obumierające, ale jeszcze olsniewające kosztowności, które północny wiatr gromadzi w zagłębieniach ścieżyn i parowach. Ale wymaga za to, aby był wierny starym władcom i nosił barwy zmęczonych i mglistych miesięcy, które mu dały życie.

Nie dopuści, aby je zdradził, przyoblekając się w mieniące się księżące szaty wiosny i jutrenki; i jeśli toleruje czasem różowy kolor, to pod warunkiem, aby był on zapożyczony od chłodnych warg, bladego czoła zasmuconej i okrytej welonem dziewczycy, która się modli na grobie. Wykreśla najdokładniej wszystkie odcienie lata, zbyt gorącej młodości, świeżego, niezmaconego życia, zbyt ekspansywnego zdrowia i wybujałej radości. Za żadną cenę nie dopuści: wesołego szkarłatu, natarczywego cynobru, królewskiej olsniewającej purpury. Co się tyczy błękitu od lazuru świtu do indygo oceanu i wielkich jezior, od barwinku do boraku i ostróżki, jest on wygnany pod karą śmierci.

* * *

Nie zważając na to, wskutek niejakej opieszałości natury, to kolor najbardziej niezwykły i najsurowiej zakazany w świecie kwiatów, kolor, który jedynie korona jadowitego mlecza zdaje się nosić w tym świecie baldaszków, płatków i kielichów—zielony—pozostawiony wyłącznie niewolniczym odzywającym liściom, przeniknął do tej zazdrośnie strzeżonej krainy. Coprawda, wśliznął się on do niej pod cudzą postacią, jako zdrójca szpieg, zbieg chytry i tchórzliwy. Udaje żółty i macza go ze strachem w migotliwym lazurze księżycowego promienia. Ma jeszcze wszystkie odcienie nocy i wprowadza w błąd, jak tęczenie podwodne. Zdradza się tylko drżącym, od czasu do czasu zjawiającym się na końcu płatków, refleksiem. Jest niespokojny i płochliwy, niedowierzający, ale niewatpliwy. Wszedł, istnieje. Ustała się. Będzie się wzmacniał, utrwał z dnia na dzień. I przez wyłom, który uczynił w cytadelach światła, wszystka radość i wspaniałości wyklętego przyzmatu wtargną do tej dziewiczej siedziby, aby zgotować

w niej nieznanne uroczystości naszym oczom. W krainie kwiatów jest to wielka nowina i pamiętne zwycięstwo,

* * *

Nie myślm, aby poświęcanie tyle uwagi kapryśnym kształtom i nieobjawionym odcieniom kwiatu, który nie daje owoców, było rzeczą błahą. I nie traktujmy tych, co starają się uczynić go piękniejszym i ciekawszym tak, jak La Bruyère potraktował ongiś amatora śliw i tulipanów. Pamiętacie tę ładną stronicę?

„Hodowca kwiatów ma ogród na przedmieściu. Biegnie do niego o wschodzie słońca, wraca o zachodzie. Widzimy go, jak stanął, niby wrośnięty w ziemię, pośród swoich tulipanów przed Samotnikiem; otwiera szeroko oczy, pociera ręce, schyla się, ogląda go zbliska: nigdy go nie widział w blasku takiej piękności, radość rozpiera mu serce. Porzuca go dla Wschodniego; stamtąd idzie do Wdowy; przechodzi do Złotego Prześcieradła; od tego idzie do Agatu, skąd znów wraca do Samotnika, przy którym już zostanie. Jest zmęczony, siada, zapomina o obiedzie, to też tulipan ten jest wycieniowany, okopany, lśniący, wybujały, ma piękny kielich. Właściciel przygląda mu się, podziwia go... Bóg i przyroda w najmniejszym stopniu nie są przedmiotem tego podziwu. Hodowca nie jest w stanie wyjść poza cebulkę tulipana, której nie odstąpiłby za tysiąc talarów, i którą odda darmo z chwilą, kiedy tulipany zostaną porzucone dla gwoździików.

Ten rozsądny człowiek mający duszę, wiarę, religję, wraca do domu zmęczony, wygłodzony, ale mocno zadowolony ze swego dnia: widział tulipany!

* * *

Z tym innym znów pomówcie o bogatych zniwach, obfitości winnych zbiorów. Nie rozumie was, nie słyszy: interesują go owoce. Mówcie mu o figach lub melonach, powiedźcie, że drzewa gruszek uginają się w tym roku pod ciężarem owoców, że obrodziły brzoskwinie: jest to dla niego nieznanny język — interesuje się tylko śliwkami, nie odpowie wam wcale. Nie mówcie mu też o waszych śliwkach—rozkochany jest tylko w jednym gatunku, każdy inny wywoła w nim uśmiech lub drwinę.

Prowadzi was do drzewa, kunsztownie zrywa tę niezwykłą śliwkę—otwiera ją, daje wam połowę, bierzcie drugą. „Co za miąższ—mówi—proszę spróbować, czyż nie pyszne? Gdzie Pan znajdzie coś podobnego?“. Nozdrza mu się rozdymają, z trudem ukrywa swoją radość i dumę pod niejakiemi pozorami skromności. O podziwu godny człowiek! Człowiek, którego nie można się dość nachwalić! Człowiek, o którym będzie się mówiło przez całe wieki! Niech ujrzą jego postać i oblicze, póki żyje. Niech się przyjrzą rysom twarzy i postawie człowieka, który, jedyny między śmiertelnikami, posiada podobną śliwkę!

I cóż? La Bruyère nie ma racji. Łatwo mu się to wybacza przez wdzięczność za to miłe okno, które sam jeden z pośród autorów swego czasu otworzył nam na nieznanne ogrody XVII wieku. Tem nie mniej jednak jego, nieco ograniczonemu, hodowcy kwiatów, jego zdziwczemu sadownikowi zawdzięczamy nasze przesliczne klomby, soczystsze, obfitsze, bardziej urozmaicone jarzyny i coraz wyższenniejsze owoce. Rzućcie okiem naprzykład na chryzantemy, na te cuda, które dojrzewają dziś w najmniejszych ogródkach, obsłużone przez cierpliwe, wytrwałe szpalery. Mniej, niż przed stu laty, były jeszcze nieznanne, i zawdzięczamy je drobnym niezliczonym wysiłkom legjonów nieznanych badaczy, mniej lub więcej ograniczonych, mniej lub więcej zdziwczących. Tym właś-

nie sposobem ludzkość nabywa prawie wszystkie swoje bogactwa. Nic nie jest błahe w naturze, i jeśli kogoś roznamiętnia liść, zdźbło trawy, skrzydło motyla, gniazdo, muszla, — owija on swoją namiętność dokoła drobnej rzeczy, która kryje wielką prawdę.

Osiągnięcie zmiany wyglądu kwiatu jest, być może, błahostką. Ale, jeśli zastanowimy się nad tym faktem nieco dłużej, nabiera on ogromnego znaczenia.

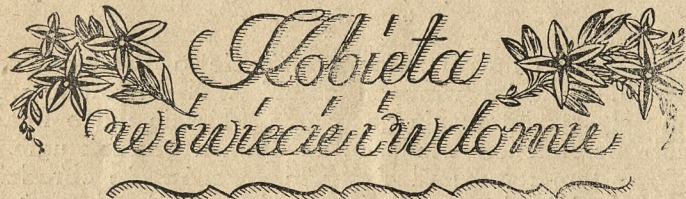
Nie jest że to zmianą i uchyleniem praw głębokich, istotnych, w każdym razie, — trwających wieki?

Nie jest że to przekroczeniem granic zbyt łatwo przyjętych, bezpośredniem domieszczeniem naszej wątłej woli do działania wiecznych sił?

Nie jest że to stworzeniem idei szczególnej, prawie że nadprzyrodzonej mocy? I mimo, że ostrożność nakazuje wystrzegania się zbyt ambitnych marzeń, czyż nie pozwala nam to spodziewać się zdobycia z czasem możliwości przekroczenia lub obejścia innych praw, nie mniej wiecznych, ale bliższych naszemu życiu i w innym sensie znaczących. Ostatecznie bowiem wszystko trzyma się jedno drugiego, wszystko sobie podaje ręce, wszystko jest posłuszne tym samym niewidzialnym zasadom. Wszystko ma te same wymagania, jest częścią tej samej duszy, tej samej substancji w podziwu godnej i przerażającej zagadce.

I najskromniejsze zwycięstwo, odniesione z powodu kwiatu, pewnego dnia może odsłonić przed nami nieskończone tajemnice.

Hum. Wanda Borudźka.



MAŁŻEŃSTWA Z MIŁOŚCI WŚRÓD PANUJĄCYCH.

W dzisiejszych czasach przy zawieraniu małżeństwa wśród rodzin panujących „racja stanu” zdaje się usuwać na drugi plan, powodem zaś tych związków staje się bardzo częste wzajemna miłość obojga narzeczonych. Do takich małżeństw z miłości należą zawarte w przeciągu ostatnich kilku lat związki: córki króla angielskiego, księżniczki Yorku, oraz królowej włoskiej. Obecnie zaś z powodu zaślubin księcia Leopolda, następcy tronu belgijskiego, ze szwedzką królową Astrid, król belgijski sam oświadczył sprawozdawcom prasowym, że związek ten nie był powodowany żadnymi względami natury politycznej.

POMNIK WZNIESIONY PRZEZ KOBIETY.

Władze magistrackie miasta Harwood w Anglii nosiły się już oddawna z zamiarem postawienia w jednym z parków miejskich pięknego pomnika ku czci poległych podczas wielkiej wojny. Projekt pomnika został już opracowany i zaaprobowany, zawiązano także komitet, do którego, jak wszędzie na całym świecie, zaproszono najbardziej zasłużonych mężów z całego miasta i okolicy — jednak budowa pomnika nie posuwała się ani o krok naprzód, brakło bowiem funduszy, których zebrać nie potrafił. Tymczasem kobiety, którym sprzykrzyło się te długie oczekiwanie, postanowiły zacząć działać na własną rękę. Zawiązały „Komitet kobiety”, na czele którego stanęła pani Katarzyna Ormerod, matka pięciu dzielnych żołnierzy, z któ-

rych trzech zginęło podczas wojny, a dwóch odniosło ciężkie rany. Kobiety komitet wziął się do pracy z takim zapalem i energją, że w przebiegu niespełna roku nie tylko uzbierana została potrzebna suma, lecz i same odsłonięcie pomnika odbyło się w sposób niezwykle wspaniały i uroczysty. W przemówieniu publicznem delegat Ministerjum Wojny, gen. Sir Neill Malcolm, złożył kobiecemu komitetowi podziękowanie za jego trudy, podkreślając, iż energja i wytrwałość kobieca zdziałała tu cuda. Na wzruszającą tę uroczystość przybyły wielotysięczne tłumy z różnych okolic Anglii.

PIERWSZA INŻYNIERKA MORSKA.

Pierwszą kobietą, posiadającą dyplom inżyniera morskowego w Anglii, jest panna Wiktorja Drummond. Rozpoczęła ona swoją pracę na polu marynarki jako zwykła robotnica w warsztatach okrętowych w Lillybank, i wykazawszy tam duże uzdolnienie techniczne, poszła już dalej zwykłą, przepisana w tej karierze, drogą. Po odbyciu sześciu wymaganych podróży morskich do Australji i na Daleki Wschód, panna Drummond złożyła egzamin na inżyniera marynarki i obecnie zamierza iść dalej tą drogą. Proponują jej podobno stałą posadę na lądzie, jako doradczynie technicznej przy warsztatach okrętowych, jednakże marzeniem jej jest otrzymać stanowisko na okręcie i przebywać stale na morzu.

KURSY HOTELARSTWA DLA KOBIET.

W Paryżu odbywają się obecnie trzymiesięczne kursy hotelarstwa dla kobiet. Wykładane są na nich przedmioty teoretyczne i praktyczne, jako to: kasowość, buchalterja, ogólne zasady prowadzenia hoteli i pensjonatów etc. Po ukończeniu tych kursów słuchaczki, stosownie do wykazanych uzdolnień i specjalizacji otrzymać mają patenty na zarządzające-hotelarki, kasjerki, kierowniczkę personelu służbowego etc. Kursy te wzbudziły bardzo żywe zainteresowanie, zapisało się też na nie bardzo dużo uczestniczek.

Inicjatorce tych kursów opierały się na doświadczeniach, porobionych już przez kobiety w zakresie hotelarstwa w innych krajach. Doświadczenia te wykazują, że kobiety są specjalnie uzdolnione do tego zawodu i osiągają w nim bardzo pomyślne rezultaty. W Irlandji np. istnieje już cały szereg wielkich hoteli, kierowanych i obsługiwanych wyłącznie przez kobiety. Najstarszą z hotelarek irlandzkich jest Miss Mearthy, właścicielka wielkiego Palace-Hotelu w Galway. W Anglii istnieje związek zawodowy kobiet-hotelarek, na czele którego stoi Lady Honywood, założycielka ośmiu przedsiębiorstw hotelowych.

ILE JEST WARTA ŻONA?

Wartość żony zmienia się zależnie od kraju, z którego pochodzi jej małżonek. Oto niektóre przykłady oceny tej wartości: W Ugandzie za żonę płaci się sześcioma bykami, pudełkiem naboju karabinowych i sześcioma igłami do szycia. Młoda dziewczyna z plemienia Kafrów warta jest — zależnie od wysokości rodu, z jakiego pochodzi — od dwóch do dziesięciu krów. U Nawajów żona kosztuje bardzo drogo: nie można jej bowiem kupić taniej, jak za dziesięć dobrych koni. Zwyczaj dopłacania do żony posagu jest w owych krajach, niemających pretensji do cywilizacji, dotychczas jeszcze nieznanym. Mówi się tam: „Dobra żona to skarb, za który warto zapłacić nawet dużo, bardzo dużo.”

Z. B





1156



1157



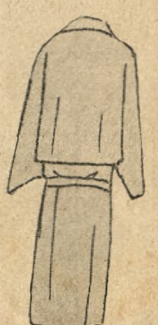
1159



1158



1160



1161

1162

1163

1164

1165



1165



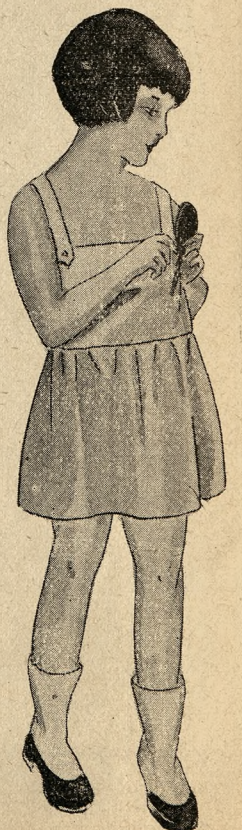
1167



1168

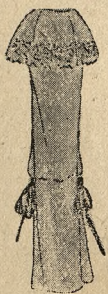


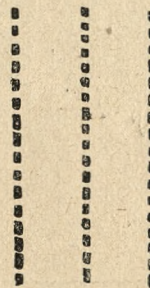
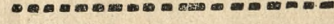
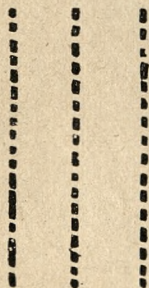
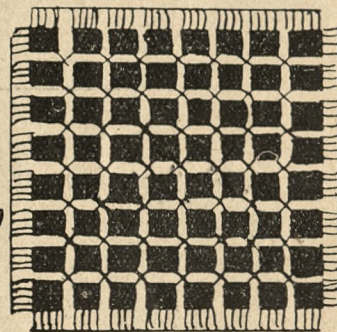
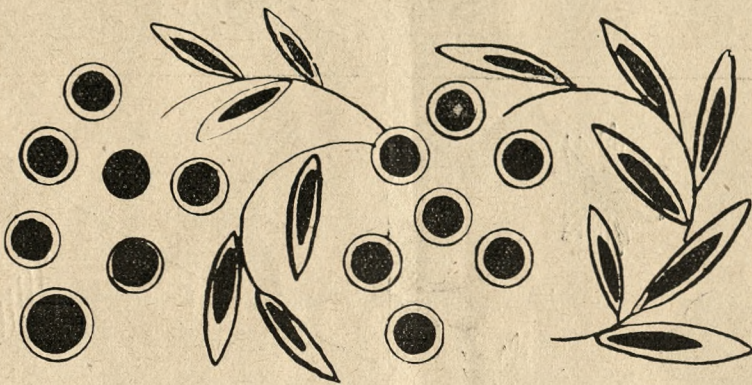
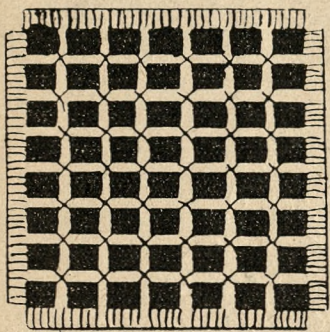
1169

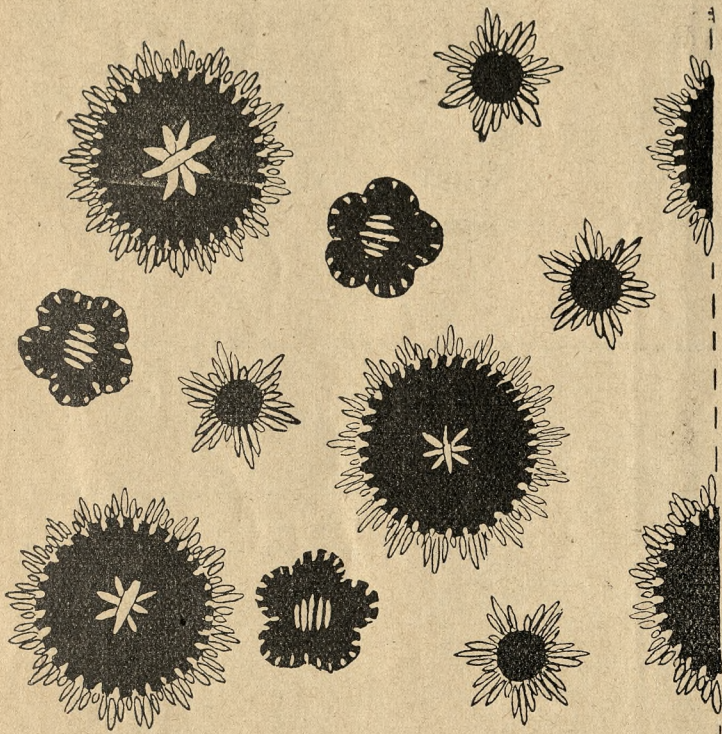
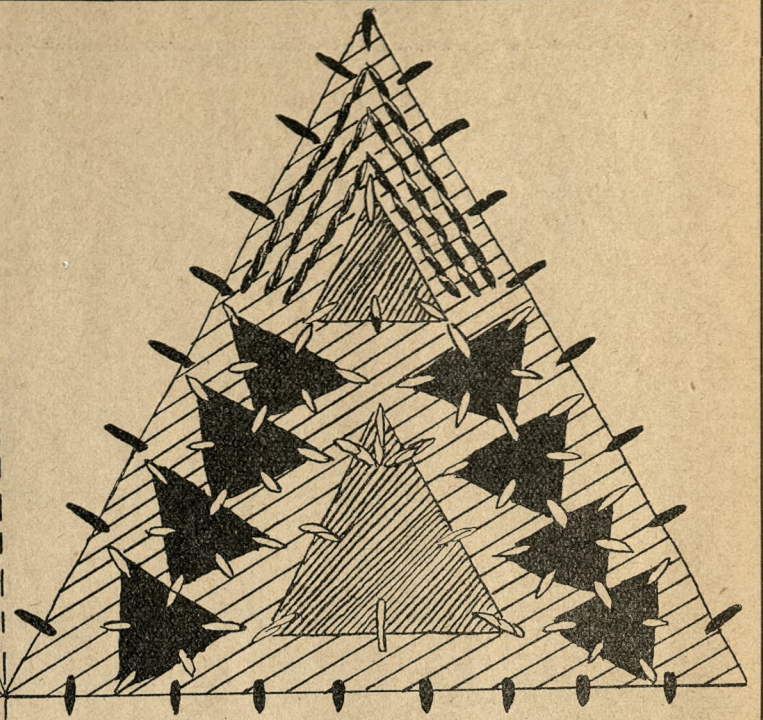
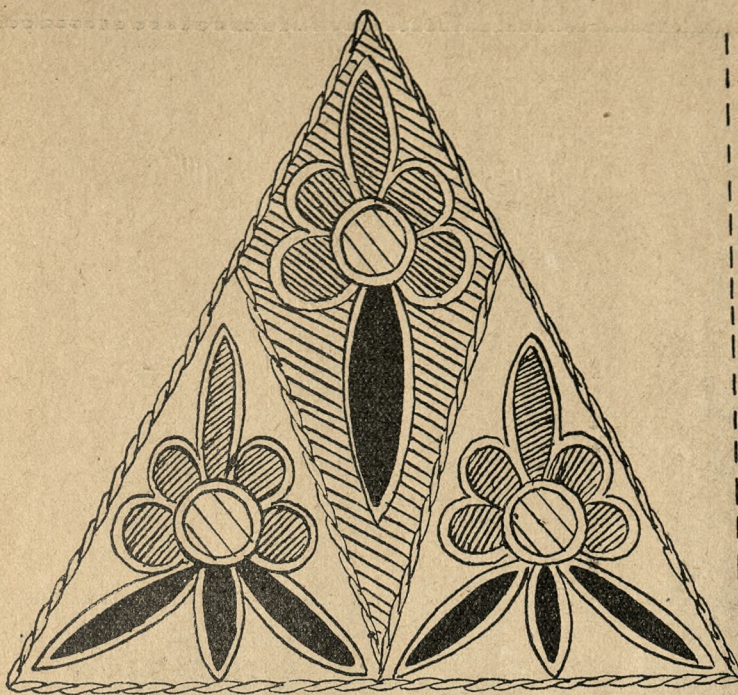


1170

1171

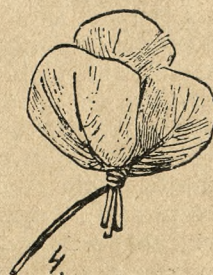
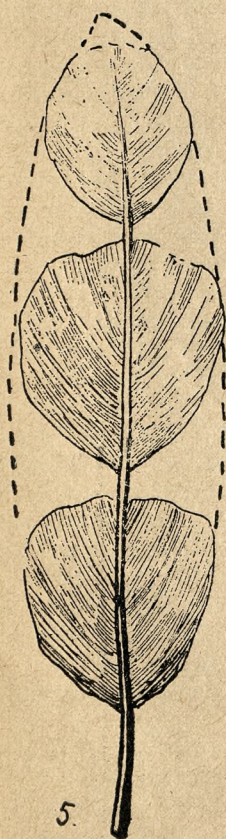




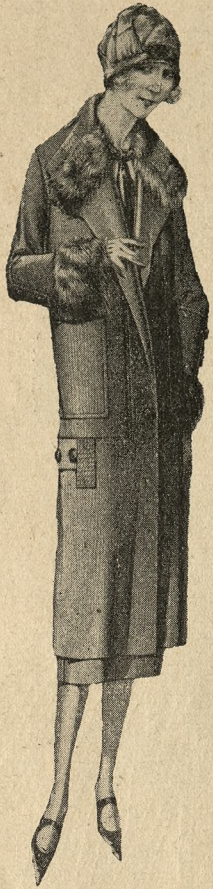


BUKIECIK FIOŁKÓW PARMEŃSKICH

Podajemy tu nowy rodzaj kwiatków, którymi zdobić będziemy w zimowym sezonie nasze płaszcze i kołnierze futrzane. Fiołki parmeńskie, wykonane z piórek, zebranych jesienią w ogrodzie, kiedy gubią, je kury i indyki, lub zapożyczonych od gąski, ufarbowane na potrzebne kolory, nie tylko, że ładnie naśladują żywe, ale mają jeszcze tę zaletę, że nie więdną. Na wykonanie bukietu potrzebujemy 12 piórek zielonych i 32 lila; naturalnie piękność naszych fiołków głównie zależeć będzie od dobrego ich ufarbowania co przedewszystkiem uczynić należy. Oprócz piórek potrzebujemy jeszcze tutaj specjalnego kleju do lepienia kwiatków, sztywnego druciku na ogonki, cieniutkiego zielonego druciku do składania kwiatków i płaskiej, zielonej bawełny do owinięcia korzonków. Kwiatki składamy z dziesięciu do dwunastu listeczków, wykrajanych z piór lila. Rycina Nr 5 wskazuje, jak wycina się z jednego pióra 3 listki. Na środek kwiatków użyjemy listków, wykrojonych z czubków piór. Po przygotowaniu tych listków, połączyć 3 lub 4 górne w jeden pęczek — rys. 4, umocować go na łożycie 12 cm. długiej, zrobionej z grubszego drutu. W dalszym ciągu otaczać listkami okrągłymi, wyginając je cokolwiek nożykiem, i dociągać mocno cienkim drucikiem. W ten sposób otrzymamy kwiatek Nr 3, pozostanie tylko okręcenie łożyci; zaczynając od góry, owijać ukośnie zieloną bawełną, aż do dołu, gdzie zatrzymujemy nitkę tak, jak to widzimy na rys. Nr 6, podsuwamy jej koniec cieniutką igłą pod ostatnie rzędy bawełny. Stosownie do wielkości bukietu, uwijamy 8 do 10 kwiatków. Dla zrobienia listka, klepamy ze sobą 2 zielone pióra, zbliżając je ogonkami, jak wyschną wycinamy je podług wzoru Nr 2, związujemy 2 źdźbła, formując łożyczkę, i malujemy żyłki zieloną farbą. Do tego malowania nie potrzeba pędzelka, wystarczy drewnienko od spalonej zapalki, którego czubkiem, umaczanym w farbie, doskonale odznaczamy żyłki (Nr 2). Pozostaje nam już tylko ułożenie bukietu. Związujemy go zielonym drucikiem, okładamy listkami, okręcamy bawełną, tak dla dokładnego wykończenia, jak i dla przykrycia podstawy listków, i mamy bukiet skończony. Trzeba go jeszcze uperfumować „Violettes de Parme“ zapachem i, albo przypiąć do futra, albo ofiarować komuś miłemu na gwiazdkę.



OKRYCIA ZIMOWE



Zima w tym roku zapowiada się bardzo łagodnie, jak gdyby uwzględniała nasze trudności i kłopoty ogólnobudżetowe, a opałowe szczególności. Jednak o okryciu zimowym pomyśleć należy, bo pogoda, jako kobieta, bywa bardzo kapryśna, a postępowanie jej obfituje w niespodzianki. Godety, zrzadka już tylko widywane przy powiewnych wieczorowych sukienkach z georgette'y, przy ciężkich okryciach zimowych są na absolutnym indeksie. Mamy poważny kłopot z przerobieniem naszych okryć zeszłorocznych; o ile godety kloszowe zostały winkrustowane w proste boki płaszczka, można je bez trudu usunąć, i otrzymamy okrycie o równej zlekka zwężającej się ku dołowi, linji, jak tego wymaga moda. Ale jeżeli cały dół ma krój kloszowy, fasonowany z ukosa na to nie poradzi sam pan Paquin, choćby jeszcze wezwał pana Redferna do pomocy.

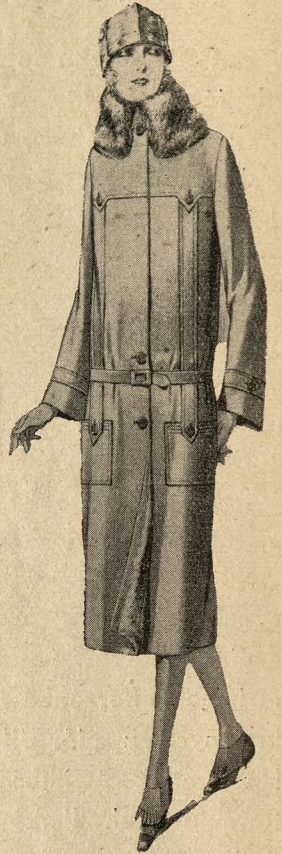
Takie okrycie najlepiej z rezygnacją donaszać takim, jakie jest, w dni deszczowe, albo brać je na dalsze wycieczki tramwajowe, kiedy się jedzie w mniej eleganckie dzielnice miasta po zakupy. I raz na zawsze mieć naukę, że nie należy robić zimowego okrycia, które się powinno nosić najmniej przez trzy sezony, krojem zbyt fantazyjnym. Więc jeżeli która z Pań czytelniczek sprawnia sobie w tym sezonie zimowy płaszcz, na Miłość Boską, proszę go sobie nie dać skrajać ani z bolerem, ani z pelerynką, ani z wyrzucaniem na plecach. Wszystko to skraca, poszerza, opatruje się i w automobilowym tempie wychodzi z mody. Największe szanse przetrwania paru sezonów ma krój równy, awantażowny dla każdej sylwetki. Kołnierze w tym roku są przesłizne.

Z tyłu podchodzą bardzo wysoko, zakrywając połowę wysokiego kapelusza, z przodu albo są ścięte w kwadrat, albo okrągłe szalowe; w obu wypadkach schodzą wąskim, łagodnym szpicem do boku, na którym jest zapięcie. Bardzo ładną tego sezonową inowacją jest przedłużenie szalowego kołnierza futrzanymi wylęgami, aż do dołu okrycia. Oczywiście daje się to zrobić tylko z futer płaskich np. kretów, fok, albo tak bardzo modnych w tym sezonie, siwych, cieniowanych karakułów. Oczywiście płaszczem zimowym par excellence jest futro. Rozmaitość futer jest w tym roku ogromna. Wystąpiły na arenę takie osobliwości, jak pantery, centkowane futra, przypominające lamparty, ale bardziej stonowane w kolorze, znacznie gładkie i miększe.

Wielkie powodzenie mają miękkie płowe gazele, brunatno przegowane. Nowe sposoby wyrobienia futer dążą do nadania im połysku, miękkości, elastyczności jedwabnej tkaniny. Osiągane wyniki są nieraz bajeczne. Okrycie z breitszwantzów sprawia wrażenie płaszczka z czarnej mory i jest równie lekkie. Z drobnych skórek krecich układa się desenie, podobne do wzorzystych adamaszków. Nadzwyczaj efektownie wyglądają płaszczki z kretów z kołnierzami z puszystych, popielatych albo srebrnych lisów. Śliczne są okrycia z ładnie dobranych, srebrzystych popielic, natomiast nic tak nie trąci starą ciotką, jak popielice wytarte i wyrudziałe. Cała gama futer złocisto-brunatnych, jak nurki, tumaki i murmle, cieszy się zasłużonym uznaniem, zarówno u brunetek, jak u blondynek. Uważam jednak, że te złoto-rude futra tworzą przedewszystkiem idealne ramy dla tycyanowskich kobiet o mahoniowych włosach i mleczno-białej cerze. Przepysznych, brunatno-fioletowych soboli nie widuje się teraz wcale; stanowią one tak samo, jak prawdziwe perły i brylanty, część przebrzmiałego zbytku przedwojennego. Panie, mogące sobie pozwolić tylko na jedno futrzane okrycie, powinny się zdecydować na lutry albo karakuły. Są to futra „nieopatrujące się”, które można nosić, z niewielkimi zmianami, przez szereg zim. Zwłaszcza karakuły są poprostu „nie do zdarcia”. Nowy sposób wyprawiania odjął im dawny ciężar. Ponieważ w karakułach rzadko komu jest do twarzy, należy do nich robić kołnierze ze skunksów. Połączenie karakułów ze skunksami jest bardzo szczęśliwe. Więcej jednak będzie takich pań, których nie stać na płaszcz futrzany, tym polecam bardzo ładne i praktyczne velour'y włochate i prążkowane w modnych odcieniach: brunatno czerwonym (lie de vin), granatowym i szarym. Przytem bardzo radzę przy kupnie żądać towarów Bielskich, nie ustępujących co do jakości wyrobom angielskim, a znacznie od nich przystępniejszych w cenie. Skunksy brunatne i siwe są najpraktyczniejsze ze wszystkich futer o długim włosie, dlatego też radzę je brać na kołnierze do okryć sukiennych i velour'owych. Bardzo modne, ładne i dystygowane jest zestawienie granatowego okrycia z popielatym futrem.

Lisów na kołnierze do okryć praktycznych nie zalecam, wycierają się prędko, a na wilgoci wyglądają, jak mokre psy.

Well.



N A S Z A R O L A

Jeden ze współczesnych literatów, zapytany o warunki, jakie podług niego najlepiej sprzyjają twórczości, odrzekł:

„przedewszystkiem nie wierzę w twórczość na głodno“.

Umotywowanie tego poglądu poparł własnym doświadczeniem, twierdząc, że najintensywniej, najwydajniej pracuje po dobrze przespanej nocy i zjedzeniu krwawego befsztyka, co wprowadza go w nastrój pogody i równowagi duchowej.

Krocząc dalej drogą swych wywodów, twierdził, że w zdrowym i dobrze odżywionem ciele zwykła mieszkać dusza, podatna najcudowniejszej sile twórczej, radości życia.

Krańcowy realizm, docenianie jedynie wartości, dających się ująć i przeliczyć na monetę brzęcząca, byłoby równie zgubne dla naszego rozwoju duchowego, jak niezdrowy i paraliżujący wole czynu nastrój przesubtelnienia. Dlatego też wytworzenie atmosfery, sprzyjającej racjonalnemu i cennemu umiarowi, tej, która, nie odrywając zbyt daleko stóp ludzkich od matki ziemi, nie podcina jednak skrzydeł, — jest rzeczą ważną i cenną. Brak tej właśnie atmosfery daje się u nas dotkliwie odczuć na każdym kroku; brak docenienia oblrzymiej roli i przemożnego wpływu piękna na twórczość, na duszę ludzką. Są jednostki tak czułe na otoczenie, że kurczą się wprost duchowo w warunkach, pozbawionych tego czegoś, co jest im do życia nieodzowne. Nie znaczy to bynajmniej, żeby łaknęły rzeczy nadzwyczajnych; potrzebują jednak na równi z jadłem, napojem, powietrzem i światłem, pewnej dozy piękna, estetyki, która działa na nich kojąco, bez której nie są w stanie dać ze siebie maksimum twórczości. Przejaw ten częstszym jest u kobiet, co nie wyklucza wpływu otoczenia i warunków zewnętrznych na duszę mężczyzny. Gdybyśmy my, kapłanki domowego ogniska, jako pierwszy i nieodzowny środek pedagogiczny, uważały atmosferę czystości i piękna, łatwiej przyszyłoby nam kształtować duszę dziecka, łatwiej nagiąć młodocianą wyobraźnię do rzeczy dobrych i wzniosłych, niż w warunkach szarzyzny i miernoty.

Odpowiecie mi może zarzutem wybiegania poza sferę możliwości, wytoczycie ciężkie działo warunków doby obecnej, braków materialnych, przeciążenia pracą i wszystkiego tego, co niesie nam chwila. A jednak twierdzić będę niezłomnie, że w każdych, najcięższych warunkach kobieta czująca i rozumiejąca wartość i uszlachetniający wpływ walorów, o których mowa, może stworzyć atmosferę odrębną, atmosferę, która tchnąć będzie nieujęty m czarem, a da współzyczącym z nią jednostkom stokroć więcej, niż przepych, dzielony z istotą bezduszną. To, o czem mówię, nie da się określić ścisłą formułką. Jest to bogate królestwo kobiecości, dar od Boga, co drzemie w każdej duszy niewieściej, niedoceniony nieraz, wdeptany w szary proch nędznej doli, ale przemożny i czujny, gotów powstać na pierwszy zew, jak Phenix z popiołów, i służyć dobresprawie.

* * *

W środowisku, które stwarza, w którym rządzi kobieta, winna na każdym kroku uzewnętrzniać się dążność do osiągnięcia pewnej doskonałości.

Trzeba na każdym u nas kroku aksamitnych rąk, co wyglądałyby powierzchnię życia — wnikliwych oczu, które śledziłyby radośnie błysk szczęścia, którym zabłysły jakieś inne źrenice na widok piękna. Trzeba jednostek, które rozumiałyby potrzebę, głód, tych rzeczy, co się „niezbędnymi“ nie zowią, a niezbędność których stanowi o kulturze jednostek i ogółu, które uczyłyby tej niezbędności, szczepiąc na każdym kroku kult zrozumienia i potrzebę wyjścia poza ramy szarzyzny

Nie chciałabym być mylnie zrozumiana, ani obudzić słowami swemi do życia żądze, co ciężaremy się stały. Daleką jestem od hołdowania pragnieniom, wychodzącym co poza sferę naszych środków.

To, o czem mówię, nie znaczy bynajmniej, aby mieszkanki chat tęsknić miały do pałaców, a te, co jedzą na zwykłą bielizną zasłanych stołach, do cienkich tkanin holenderskich obrusów. Trzeba tylko, aby pragnieniem każdej kobiety stało się wydobyć maksimum uroku z własnego otoczenia, zaszczerpienie na dziczku warunków, jakie jej przypadły w udziale, — cennego kwiatu, wydzierganie na kanwie szarej codzienności barwnego kobierca.

Kryształowe wazy i kielichy czekają na pęk wonnych róż i orchidei, a głąb glinianych garnków, w kolorowe malowanych desenie, na złote oczka kaczęńców i na koronkową wonną zieleń modrzewiowych gałęzi.

Jedne i drugie skarbnicami będą piękna, a dla oczu — wytchnieniem i radością. Trzeba tylko rąk, co rzuciłyby je na tło starych mahoni, lub prostych, czystych ścian skromnego wnętrza. Trzeba tych rąk — i to jest właśnie nasza rola. Jeżeli każda kobieta spełni swoją rolę, nie będzie zimnych ścian, co pustką tchną i chłodem. Nie będzie zaniedbanych klombów, pustych rabat, zachwaszczonych parków, zdziczałych sadów. Nie będzie niedbale nakrytych stołów z niedobitkami zbieranej porcelany, chaotycznie ciśniętej na szarzyznę wymiętych obrusów, odmiennych filizanek, z odmiennymi spodkami stanowiących parę, śniadań, podawanych na wyólkłych tackach, w poszczerbionych garnuszkach, napełnionych zagadkową ciecżą o niezbadanej temperaturze. Rozwieliżni się u nas, tak jak to jest na szerokim świecie — w pensjonatach, hotelach, sanatorjach, lecznicach, odnajmowanych pokojach, mieszkaniach, dworach, dworach i willach komfort życia codziennego, wplecie się w szarą nitkę naszych dni barwa, linja, ton, wdzięk i urok, urok harmonji i piękna. Trzeba nam tych, co umiałyby nieść w życie pochodnię, rozświetlającą mroki, co wyniosłyby z dalekich dni najmłodszego dzieciństwa nawyk i potrzebę czegoś więcej, niż chleb powszedni, o który modlą się co rano.



I tu znów zaczyna się nasza rola, Bo któż, jak nie my, lepi podatną glinę duszy dziecka, kto mocen jest nauczyć młodociane oczy kochać słońce i kwiaty, dążyć zawsze wzwyż ku światłu i pięknu.

Dziecko, które wzrosło wśród jasnych ścian, dziecko, nagięte od najpierwszych dni do kulturalnych warunków bytu, to, którego oczy, budząc się ze snu, witały słońce, co zaglądało ciekawie przez czystą tafelę szyb, ujętą w biel śnieżnych firanek, i, pieszcząc po drodze główki zwróconych ku niemu kwiatów, padało smugą na skromne, ale schludne i śliczne królestwo dziecięcej komnatki; dziecko, które wzrosło w bezwzględnej czystości ciała, w kontakcie z naturą, w porozumieniu z rzeszą przyjaciół ze zwierzęcego świata;



dziecko, które siadało przy ładnie nakrytym stole, kładło się do snu w wonnym świeżością łóżeczku, nosiło na wątlých swych ramionkach skromne, lecz estetyczne w linii i barwie szatki, — poniesie ze sobą w świat potrzebę kulturalnego bytowania i duszę, czułą na niedolę słabszych i na piękno. Będzie umiało dawać wiele, ale i wiele potrzebować i żądać będzie.

Na tej jedynie drodze wytworzą się zastępy walczących z abnegacją, szarżyzną i brzydota naszego codziennego życia — stanie się ono z czasem nie ciężarem, od którego gną się ramiona, ale treścią jasną i cenną, treścią ścian naszych, w których każda z nas znajdzie spokój, czar i wytchnienie — ona i jej bliscy, jeżeli spełni swoją rolę.

W. N.....ska.

O WNEĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

HOME ANGIELSKI

Za najbardziej komfortowe wnętrza świata uznano — angielskie. Łączą one wytworność z wygodą, tradycję z potrzebami dzisiejszemi. Na ukształtowanie się domu angielskiego złożyło się dziesięć wieków nieprzerwanego rozwoju kultury i cywilizacji anglosaskiej. Na to, by dom miał właśnie taki, a nie inny, wygląd zewnętrzny, wpłynął klimat; na uformowanie planu domu miał wpływ charakter rasy. Dumny, nieugięty Anglik chce nagiąć cały świat do swej woli, jeśli nie cały wziąć pod swe panowanie. Dba przede wszystkim o siebie, o swoją wygodę i zadowolenie i dla tych ideałów gotów ponieść największe ofiary. Nagiął formę planu swego domostwa do swych wymagań, potrzeb, kaprysów.

Szlachecki dwór angielski jest w planie szczytem wygody. Tworzy najkapryśniejszą pod słońcem figurę, podkowę, literę L, czy E. Rozgałęzia się w szereg odnóg, wykuszy, wnęk, załamania, wije się kapryśnie, rozłazi — ale zawsze z wielką myślą przewodnią o wygodzie mieszkańców. Są to najoryginalniejsze plany w świecie. Dopomógł w tem klimat. Łagodny, ciepły, pozwolił rozwinąć linię zewnętrzną domu, gdy naprzykład w Polsce musieliśmy zawsze kurczyć się do środka, aby ściana zewnętrzna, wystawiona na działanie ostrego klimatu, zajmowała jaknajmniejszą przestrzeń. W Anglii jest to bez znaczenia. A jednocześnie mglistość kraju nakazała, by dać jaknajwiększą ilość okien ogromnych, aby należyta ilość światła wprowadzić do środka. Na tem tle powstało budownictwo angielskie. Był okres w historii Anglii, zwany palladjańskim, gdy rezydencje magnatów budowano w kształcie symetrycznych bloków, lecz zasadniczy typ dworu, domu, — będzie o cechach wyżej wymienionych. Wielkie style kontynentu, przechodząc na wyspę, musiały się nałamywać do wymagań kraju, wbrew kanonom sztuki rozwijać się, jak im kazano. Czy to gotyk, czy renesans — są one w Anglii najzupełniej oryginalne i różne od środkowo-europejskich.

Osią każdego domu w Anglii, czy to w zamku lorda, czy w cottage'u drobnego urzędnika — będzie hall. I u nas sień grała dawniej ważną rolę, ta sień z kominem, ze zbrojami, zawieszonymi wokoło, gdzie w długie zimowe wieczory zgromadzeni mieszkańcy dworu, wraz ze służbą spędzali czas na mo-
dlitwach i gawędach przy pracy. Lecz nasza sień

przestała grać jakkolwiek rolę od połowy XVIII wieku, natomiast w Anglii zachowano jej znaczenie do dziś. Dwa rodzaje hall'ów spotykamy: Entrence hall, właściwy przedsiónek i great hall, lub hall, czyli sień wielka, właściwa. Pochodzi on w prostej linii od wielkiej komnaty w starym zamku z X-go wieku, z ogniskiem w środku, można powiedzieć jedynej w całym budynku, gdyż były tylko alkierze dla kobiet, kaplica i schody na wieżę. Wówczas w hallu spało rycerstwo, jedzono i radzono w tej jedynej izbie. Tą tradycję ma hall do dziś. Jest to serce, w którym zogniskowuje się życie domu. Wprawdzie wiek XVIII-ty dorzucił szereg salonów, lecz Anglicy pozostali wierni staremu hallowi.

W takim hallu mamy przede wszystkim wielki komin. Przed nim wygodna kanapa, przyparta do ciężkiego stołu lub biura, ze stojącą lampą. Po bokach ogromne fotele, stoliki, lampy. Tworzy się zaciszny krąg siedzisk wokoło ognia, gdzie w słotne dnie i wieczorem gromadzą się domownicy. W dużym hallu będziemy mieli po kątach różne „posiedzenia“, cosy corner, rozkoszne zakamarki do gawędy, czy wypoczynku; będzie fortepian, czasem mały bilard, radio-aparat, kwiaty, szafka podręczna z książkami, wazon. Ogromne okna na taras od ogrodu, zasuwane na noc kotarą, i wielka ilość światła na wieczór. Obrazy, myśliwskie trofea, skóry tygrysów i — schody na piętro. Tak się w ogólnym zarysie przedstawi hall angielski w przeciętnym zamożnym domu. Biedniejszy — ograniczy się do paru foteli wokoło komina, paru stolików, obrazów i skór.

Drugą charakterystyczną ubikacją jest galerja, położona najczęściej na pierwszym piętrze, spotykana już wyłącznie w zamkach rodowych arystokracji. Galerja jest niezmiernie długa w stosunku do szerokości. Opatrzona z jednej strony rzędem okien, często w wykuszach, w środku posiada wyjście na schody i komunikację z innymi pokojami, zaś zasadniczo łączy kaplicę pałacową z salą jadalną, lub biblioteką. Spotykamy galerję i na parterze, lecz wtedy gra ona rolę arterji komunikacyjnej, jak i na 2-gim piętrze, zaś galerja 1-go piętra była czemś w rodzaju salonu, sali reprezentacyjnej i balowej. Nieraz doprowadzana do olbrzymich rozmiarów, o wspaniale przyozdobionych dekoracją ścianach i suficie, pełna pysznych mebli i obrazów, była drugim po hallu ogniskiem

życia domu, zanim wiek XVIII-ty nie kazał urządzać złożonych salonów i buduarów.

Kaplica, sala jadalna, biblioteka, mówią same za siebie. W dużym domu, prócz wielkiej sali jadalnej, gdzie się odbywają przyjęcia wystawne, istnieje zazwyczaj mała jadalnia, dla szczupłego grona domowników, a nawet jeszcze specjalny pokój do śniadań, lunch room. Apartamenty sypialne składają się z saloniku i sypialni, dawniej była jedna wielka komnata. Ostatnie dziesiątki lat dorzuciły jeszcze ubieralnię i łazienkę. Dodajmy, że każdy zasobny dwór posiada jeszcze sporo pokoi dla gości.

Taki był ogólny program zamków i dworów angielskich. Dom miejski, dla jednej rodziny wąski i wysoki rozłoży swe pokoje inaczej. Na dole hall, jadalnia i kuchnia, na 1-em piętrze salon i sypialnie, na 2-em—gościnne, na 3-em—służba. Tak się uwarło od paru stuleci. Z planu, z rozstawienia i jakości mebli osiągnięto ideał wygody. Pod ręką jest wszystko, co potrzeba, obliczono każdy gest, ruch, każdą możliwość. To też nowe prądy wieku XIX-ego nie naruszyły starego schematu. Powstał nowy typ willi podmiejskich, domu z ogrodem, gdzie każda rodzina jest zupełnie odseparowana, u siebie, do czego dążą wszyscy Anglicy. Nowe dwory wiejskie wzorowano na starych, zaś secesja wytworzyła owe wspaniałe, tak zwane w świecie, klubowe meble, te olbrzymie obite skórą, w których się tonie poprostu, ale zawsze doskonale wypoczywa.

Anglja jest ojczyzną nursery, pokoju dzieciennego. Tam najpierw zrozumiano, że dzieciom należy stworzyć ich własny świat, świat zabawek, gimnastyki, gier, wczesnego kładzenia się spać, psów, ptaków i bajek. Odsunięto je do pewnego wieku od życia dorosłych, niezrozumiałego dla nich, niepotrzebnego w swej zawilości. Nawet mały zamożny dom posiada choć jeden pokój z łazienką, oddany wyłącznie dzieciom. Zbytorny lokal składa się z pokoju sypialnego, lub dwóch, koniecznie z oddzielnej łazienki, z pokoju bony, pokoju do zabaw, później do nauki, lub, gdzie dużo dzieci, z jednego i drugiego, wreszcie z jadalni. Cały ten apartament znajduje się na parterze, lub piętrze, a wtedy ma duży taras, czy balkon od południa. W zbytornych domach są nawet oddzielne schody do pokoi dzieciennych, wysłane miękkim dywanem, a przy dzieciennym skrzydle dworu jest specjalny ich ogródek, ogrodzony kratą, by żaden obcy pies nie wpadł do tego państwa milusińskich. To są, oczywiście, zbytki, dostępne dla bogatszych

ludzi, ale pokój z łazienką, to przecież mógłby mieć każdy dom, a oddzielenie dzieci jest przecież konieczną rzeczą, aby z nich nie wyrosły potem przemądrzałe, przedenerwowane dziwolągi, naśladowujące starszych i stanowczo zawiele na swój wiek wiedzące.

Anglja pomimo swej krwawej historii ma ów nieprzerwany ciąg rozwoju sztuki wnętrza. Żaden wielki kataklizm nie wstrząsnął jej życiem. Nie mieli Anglicy wielkiej rewolucji, jak Francja, nie mieli wojen napoleońskich, a gdy się bili, to przeważnie poza granicami swej wyspy. To też osiągnięte drogą ewolucji urządzenie domu jest niezrównane. Gdy kontynent wije się w gorączce rokoka, a potem gilotynuje starą sztukę i błyszczy empirem, — Anglja wydaje swoje wytworne trochę oschłe i sztywne Chippendall'y, Sheraton'y i Jacop'y*). Każde pokolenie dorzucało coś do domowego ogniska. Nigdzie niema takiej ilości, od tylu wieków zamieszkałych dworów i zamków. Z dalekich wypraw zaborczych przywieziono cudne wazy, kobierce, skóry, kły, biżuterje. Każdy zamek, to muzeum bezcenne. A potem wieki dorzuciły swoje nowe zdobycze, urządzono łazienki, telefony, elektryczność, dziś radio. Nowe domostwa są ściśle wzorowane na starych. Jeśli niema oryginalnych starych mebli, to są pyszne kopje, albo właściwie takie same meble, robione współcześnie, nieraz w tych samych firmach. Nie szuka się u nich nowych dróg, bo wszystko, co mają, jest świetne. Cały świat imituje ich urządzenia hallów. Ów system domów, by każdy miał swój pokój, lub parę o indywidualnych cechach.

Lecz stała się rzecz nieunikniona. Przed kilkudziesięciu laty, jeśli nie przed paruset, ułożono tryb życia, który tylko trochę się nałamał do dzisiejszego tempa. Ocalała znów Anglja od chaosu wielkiej wojny; ktoś stracił, ktoś zyskał, zresztą wszystko po staremu. Otóż ów schemat życia, wtłoczony w schemat domu, stał się zabójczo nudny. Rozkoszne wnętrze zamku, czy willi, w ślicznym parku położonej, zachwyci nas. Lecz pomyślmy, że setki i setki domów są prawie identyczne. A w każdym domu owe pozorne rozrzucenie mebli wokoło kominka jest uświęcone tradycją wielu lat. Że tam wszystko trwa bez ruchu od wieków. Jest skostniałe, umarłe w doskonałości, jest suche i w bajecznym komforcie oschłe i nudne.

Zygmunt Knothé.

*) Nazwiska twórców pewnej formy mebli, nazwy firm, lub miejscowości, gdzie powstał pewien ich typ, dziś określenie „podstyu“ mebli, utarte wśród znawców.

JEMIOŁA

W legendach ludów północy była jemiola symbolem odradzającego się wiecznie życia, a jako poświęcony dar przynosiła błogosławieństwo bogów i szczęście obdarowanym. Najstarsza z legend przedstawia porę owocowania jemioly na przełomie starego i nowego roku w symbolicznej, a pięknej baśni bogów: Bogini Frigga odebrała od wszystkich twórców przyrody przysięgę, że nie zranią jej syna, najmilszego z bogów, Baldura. Przeoczyła jednak jemiolę, jedyną, nie objętą przysięgą, a która w formie strzały, w rękach ślepego Hödura, kierowanej przez złego Loki staje się przyczyną śmierci Baldura. Ze zgonem promiennego boga

spadły na świat klęski i nieszczęścia — ale, jak mówi dalej legenda, za dotknięciem zwłok gałązką jemioly, zrodził się nowy, pełen blasku życia Baldur, powołujący swem zmartwychwstaniem nową, szczęśliwą epokę świata, którym szczęśliwie rządził. Przejrzystym jest ów poetyczny obraz roku, w którym Baldur przedstawia symbol wiosny — a Hödur — godło natury, zabijającej mróz zimowy.

Poeta rzymski Vergilius opowiada znów w bohaterskiej epepei, że Eneasza otwiera wrota podziemi złotą rutą, którą porównuje z jemiolą. W misterjach Celtów i Gallów posiadała jemiola okultystyczne



znaczenia. Oto Druidowie w dniu szóstym po nowym roku, uroczystie ubrani w białe szaty, ucinali złotym sierpem gałęzie jemioli i po modłach obdarowywali nimi lud.

Przynosiły one szczęście, a napój, przyrządzony z jej liści, miał moc leczniczą przeciw wszelkim truciznom.

Nic dziwnego, że tak osobiwa roślina, jaką jest jemiola, musiała zwracać uwagę ludzi pierwotnych. Żyjąc ściśle z przyrodą, zawisli od niej i jej darów, umieli bystro obserwować jej zjawiska. W czasie, kiedy w lasach zamierało życie zieleni, odsłonięte bukiety, pełne zielono-złotych liści, nie mogły ująć ich uwagi—musiała ich zastanawiać odrębność życia tej rośliny od innych. Powstawało pytanie, skąd się wzięła na drzewach roślina, zimą obsypana perlami owoców—kto zasiał ją wysoko w koronach drzew? Jasnym jest, że musiała powstać wiara, że nasienie spadło z nieba, a jako dar bogów, musi być jemiola posłannikiem szczęścia.

W Irlandji, w tym kraju legend, najdłużej utrzymywał się żywy kult jemioli, stamtąd dostał się do Anglii i dalej. Z czasem jednak kult ustał, zapomniano o przesłicznym boskiem urodzeniu jemioli, pozostawiono jej jednak przyznane niegdyś właściwości mające przynosić pomyślność obdarowanym, i dziś np. Anglicy nie rozumieją świąt Bożego Narodzenia bez gałązek jemioli, którą zawieszają na suficie, pod lampą, lub ponad drzwiami. Przynosi ona domowi szczęście. Kobięte, przechodząc pod gałęzią jemioli, wolno bezkarnie mężczyźnie pocałować; taki pocałunek ma być szczęśliwym i trwale zadzierżniętym węzłem między nimi.

Wielkie zapotrzebowanie jemioli w Anglii w okresie świąt Bożego Narodzenia pokrywa przeważnie Bretanja, zwożąc jemiolę w tej porze całymi okrętami.

Od Anglików rozszerzył się ten zwyczaj we Francji i Niemczech, obecnie i oni w swych świątecznych zwyczajach widzą w jemioli symbol szczęścia — a stamtąd powoli ten zwyczaj i do nas przesiąka. U nas od szeregu lat około Bożego Narodzenia i na Nowy Rok ukazują się za szybami kwaciarni śliczne, kształtne, zielono-złote gałązki jemioli. Gałązki te mniej barwne, niż cieplarniane kwiaty, stanowią jednak nie mniej cenny dar — są witane z radością, jako posłańce szczęścia.

Warto się przypatrzeć życiu tej ciekawej, przez cały rok zielonej, rośliny.

Jemiola (*Viscum*) roślina z rodziny gązewniko-watych, jest właściwie pół-pasorzytem, bo materiał, potrzebny do życia, tworzy, jak inne rośliny, przy pomocy zieleni, zawartej w liściach i gałązkach, ale nie zakorzenia się w ziemi, lecz tkwi korzeniami w korze i drewnie rośliny (gospodarza), na której żyje i rozrasta się. Z drzewa, na którym żyje, czerpie wodę z rozpuszczonymi solami mineralnymi, bez których istniećby nie mogła.

Opada rozmaite drzewa liściate i szpilkowe, często gromadnie, wtedy wygląda na nich zdaleka jak gniazdo czaple, albo gawronie. Ptaki chętnie w jej krzaczkach budują gniazda. Skórkowate, zielone, jajowate liście jemioli trwają do dwóch lat, poczem

odpadają. Zimową porą jej opadłe liście i gałęzie są pożywieniem dla jeleni, sarn i zajęcy.

Jemiola ma kwiaty dwojakiego rodzaju: męskie—t. zw. pręcikowe i żeńskie—słupkowe, zwykle na osobnych krzaczkach. Drobne te kwiatki wydzielają woń pomarańczową. Owalne ziarenka pyłku drobno kolczaste przenoszą owady na żeńskie. Owocami są białe jagody, pełne kleistej substancji, pomalowo dojrzewające. Kiedy dojrzeją w grudniu, rzuca się na nie zgłodniałe ptactwo, zwłaszcza jemioluszki, i roznosi z gałęzi na gałąź; z jednego drzewa na drugie. Ptaki, które drażni ciągnący się lep jagód, ocierają dziób o gałęzie drzew i wtedy przylepiają do nich nasiona. Inne, jak drozdy, zjadają jagody, rozsiewając niestrawione nasiona po gałęziach.

Osobliwym jest przebieg kiełkowania u jemioli. Nasiona roślin kiełkują w ciemności — jemioli zaś tylko w świetle.

Z nasienia wydobywa się zielona, podliścienna część z korzonkiem, który obejmuje podporę, a koniuszek wpija się w gałąź.

W tym stanie trwa całe lato na gałęzi pozornie bez życia, w rzeczywistości jednak wpija się w odżywcza gałąź szeregiem ssawek i umacnia się. Kiedy się to stanie, wydobywa się zarodek z nasienia, poczem ukazują się dwa liścienie (zarodkowe), a wkrótce potem pojawiają się dwa typowe liście.

Zrazu wyrasta jedna, lub kilka gałązek, każda z dwoma liśćmi, poczem z kolei dalsze rozgałęzienia.

Wzrost drzewa na grubość grozi jemioli zrzuceniem z gałęzi, więc wytwarza ona corocznie nowe ssawki, które wrastają w młode przyrosty drzewa z bocznych korzeni korowych, przebiegających pod korą gałęzi.

Jeżeli się odłamie jemiolę, a zostawi na gałęzi mały kawałek, to roślina potrafi się odnowić zapomocą pączków i pędów przybyszowych, a jeśli się wszystkie części wystające usunie z gałęzi, to mimo to odrośnie z ssawek, tkwiących pod korą, często opodal dawnego miejsca.

Krzew jemioli żyje 40 do 50 lat, rzadko dłużej. Skoro zamiera, tkwią jeszcze czas jakiś w drzewie korzenie korowe i ssawki, poczem próchnieją, nie uszkadzając tem samego drzewa, które dalej zdrowo rośnie, pozostawiają w niem tylko liczne otwory, jakby od kul karabinowych. Jemiola nie jest na ogół szkodliwa dla drzew, jak wielu sądzi. Szkodzić może rzeczywiście drzewom, zwłaszcza owocowym i jodłom wtedy tylko, kiedy się rozmnoży w nadmiernej ilości.

Francuski przyrodnik G. Bonner twierdzi nawet, że jemiola za pobrane z drzewa soki dostarcza gospodarzowi w zamian większe ilości bezwodnika węglowego.

Nie powinni więc ogrodnicy i leśnicy tępić bezwzględnie jemioli.

Jakże piękne są te zielono-złote bukiety w porze zimowej w parkach i lasach liściastych, kiedy wszelka roślinność, zda się, zamarła w martwocie snu, a jedna jemiola szepce o utajonym życiu, ciesząc oczy uroczym i niezwykłym widokiem w tej porze.

Zofja Królowa.



PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Jedną z najważniejszych czynności przy udzieleniu pomocy w nagłych wypadkach zasłabnięcia jest przeniesienie i ułożenie chorego. Ma to miejsce przy krwotokach, wstrząsach, urazach brzucha i omdleniach. Niekiedy umiejętność przeniesienia rozstrzyga o kallectwie, lub nawet o życiu chorego. Do przenoszenia zasadniczo służą nosze, które w ostateczności można zastąpić drabinką z wozu, lub nawet dwoma drągami, rozciągając pomiędzy nimi prześcieradło. W razie, gdyby i drągów nie było, można chorego przenieść na kocu, lub prześcieradle, trzymając je za każdy koniec oddzielnie. Podnoszenie chorego winno się odbywać bardzo ostrożnie, aby mu nie zaszkodzić. Jeżeli chory jest zupełnie bezwładny, należy podsunąć pod niego rozpostarte prześcieradło, jeżeli zaś posiada cokolwiek sił, każe się mu chwycić za szyję, a równocześnie bardzo ostrożnie podnosi jego nogi. W wypadkach, gdy zachodzi potrzeba przewiezienia chorego, trzeba wóz wysłać sianem i jechać powoli, aby uniknąć wstrząsu.

Przy nagłym wypadku, jeżeli chory leży bez ruchu i nie oddycha wcale, a brak pewności, czy mamy do czynienia ze śmiercią pozorną, czy naturalną, należy wyczerpać wszystkie środki ratownicze. Jednym z najważniejszych takich środków jest sztuczne oddychanie.

Sztuczne oddychanie jest podstawą ratownictwa i koniecznie musi być stosowane, gdy ma się do czynienia z uduszeniem, utopieniem, zatruciem i t. p.

Różne są sposoby sztucznego oddychania. Jako najłatwiejszy, polecam następujący: — podnosimy ręce do góry i opuszczamy je na dół ruchem półkolistym, przytem pod plecy podkłada się wałek. W ten sposób naśladuje się naturalne ruchy oddechu, gdyż rozszerzamy sztucznie klatkę piersiową. Początkowo oddech może być bardzo słaby, lub nawet przez długi czas wcale niewidoczny. Nie należy jednak tracić nadziei, czasem bowiem dopiero po paru godzinach stosowania sztucznego oddychania można uratować życie ludzkie. Ruchów, o których mowa, należy wykonywać nie mniej, niż 10 na minutę. Podczas ratowania trzeba uważać, czy chory nie zaczyna już sam oddychać. Ważnem bardzo jest usunięcie zanieczyszczeń w postaci piasku lub mułu z jamy ustnej i przytrzymanie języka na zewnątrz, aby nie tamował dostępu powietrza. Język można przytrzymywać szczypczkami do cukru, lub też zaimprovizować takie szczypczki z drzewa.

Drugą ważną zasadą w ratownictwie jest podtrzymanie akcji serca. Osłabienie serca zwykle się objawia przyspieszeniem lub zwolnieniem tętna, występującą bladnością, sinicą, niepokojem, przyczem kończyny górne, dolne i nos są zazwyczaj lodowato zimne.

Bardzo skuteczny jest wówczas masaż serca, który uskutecznia się za pomocą uderzania dłonią okolicy lewej strony klatki piersiowej około 60 — 70 razy na minutę, poatem należy rozcierać kończyny górne i dolne, i ogrzewać je przy pomocy gorącej wody.

Istnieją cztery sposoby ratowania w wypadkach zasłabnięcia z objawami ze strony serca: 1) zapomocą masażu serca, 2) zastosowania środków, które działają

przez wachanie, a więc eteru, amonjaku, 3) przez podawanie do wewnątrz kofeiny, kamfory, czarnej kawy, konjaku, wreszcie 4) drogą podskórną, przez wstrzykiwanie kamfory, kofeiny i t. p., przyczem zaznaczyć należy, że to ostatnie najszybciej działa.

Przy zastrzyku trzeba pilnie przestrzegać czystości; (10 minut należy gotować instrumenty do zabiegu), gdy się to pomija, to lepiej wcale zastrzyku nie robić, gdyż przez to można przynieść choremu wielką szkodę, powodując infekcję róży, flegmonę, wrzody, lub zakażenie ogólne. Również, jeżeli nie umie się wstrzykiwać, lepiej tego zaniechać, aniżeli czynić to nieumiejętnie, lub wbrew zasadom aseptyki. Znane są fakty, gdy z powodu nieumiejętnego wstrzykiwania lub przez pośpiech, zdenerwowanie, niedostateczne wygotowanie instrumentów, powstawały groźne i ciężkie następstwa.

Do najczęściej spotykanych nagłych wypadków zasłabnięcia należą: bóle głowy, udar mózgowy, epilepsja, histerja, omdlenia i bólesci w jamie brzusznej.

Bóle głowy. Najczęściej spotykanem cierpieniem jest ból głowy. Przyczyny bólu głowy są najrozmaitsze. Przy uczuciu bólu głowy najpierwszym warunkiem jest stwierdzenie, czy temu nie towarzyszy podniesienie temperatury.

Bóle głowy występują przy chorobach wewnętrznych, zakaźnych, nerwowych, przemęczeniu, zaccadzeniu, zatruciu, chorobach przewodu pokarmowego i t. d.

Bóle głowy, występujące okresowo i połączone z nudnościami, znamionują migrenę.

Pomoc, stosowana przy bólu głowy, polega na ułożeniu chorego w spokoju; należy okna zaciemnić, oraz podawać środki, uśmierzające ból.

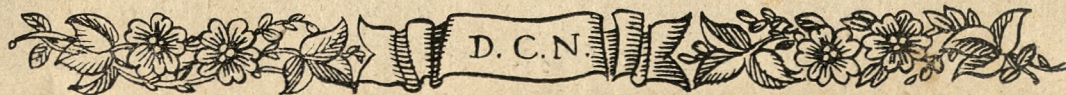
Zależnie od tego, co jest przyczyną bólu głowy, można zastosować spacer, użycie środka przeczyszczającego, okładu na głowę, (zimny lub gorący). Dobry jest sposób, stosowany przez Rüklego — moczenie nóg w gorącej wodzie, który przy bólach głowy daje niekiedy doskonały efekt

Udar mózgowy, bywa spowodowany pęknięciem jakiejś tętniczki w mózgu, wskutek czego następuje wylew krwi do mózgu. Nieraz apopleksja zdarza się pod wpływem wstrząsu psychicznego, występuje zwykle u ludzi, chorych na zwapnienie żył (najczęściej w starszym wieku). Twarz człowieka, rzonego apopleksją, jest sino-czerwoną, żrenice nie reagują, może też nastąpić oddanie kału i moczu. Po przejściu takiego ataku, chory może mieć sparaliżowaną połowę ciała, lub w ponownym ataku skończyć życie.

Ratowanie w wypadkach apopleksji polega przede wszystkim na ułożeniu chorego tak, aby głowa spoczywała wysoko, stosują się zimne okłady na głowę, poatem stawiają się pijawki za uchem. Niejednokrotnie puszczenie krwi daje dobre rezultaty, a przede wszystkim należy chorego pozostawić w spokoju.

Ze wszystkich wymienionych wypadków najcięższym jest atak apopleksji. Przy apopleksji należy bezwzględnie natychmiast zawezwać lekarza, gdyż szybka pomoc fachowa nieraz może stanowić o życiu chorego.

Dr. med. Julja Świtalska



O ZASTOSOWANIU RÓŻNYCH GĘSTOŚCI SYROPU

Na otrzymane kilkakrotnie zapytania, jak dawać sobie radę z syropem, aby go doprowadzić do potrzebnej gęstości, i jaki do czego używać, odpisuję ogólnie, przypuszczając, że wiadomości te niejednej z Pań się przydadzą. Dla ułatwienia w orjentowaniu się, zacznę od Nr. 1 najrzadszego, tak zwanego „gładkiego“ syropu i określenia go.

Nr. 1. Gęstość syropu „gładka“ używa się na kompoty, konserwy i soki. Dwoma szklankami wody zalewa się 1 litr cukru. Po wyszumowaniu i kilkakrotnym zagotowaniu, bierze go się trochę na łyżkę srebrną, i nachyliwszy ją, spuszcza się po kropli. Jeżeli ostatnie krople spadają powoli pociągając się, syrop ma dosyć.

Nr. 2. „Perełkowy“ gęstość tę używa się do konfitur. Po dłuższem gotowaniu syropu Nr. 1, zrobić z nim tę samą, co poprzednio, próbę. Jeżeli ostatnie krople wyciągają się w nitki, gęstość dostateczna, można kłaść owoc.

Nr. 3. Gęstość syropu, tak zwana „do pióra“, używa się na lukier przezroczysty do ciast, pączków, na konserwę do skórek pomarańczowych lub do innych suchych konfitur, na pomadki kremowe, do nalewania marcepanów etc. Wody na ten syrop bierze się tyle, co wsiąknie w cukier, z dodaniem łyżki dobrego octu. Po zagotowaniu próbuje się widelcem, lub łyżką durzłakową, jedno albo drugie macza się w syropie, dmucha w dziurki, a gdy nitki cienkie, jak włoski, wylatywać będą w powietrze — syrop dobry. Wylać go na porcelanową salaterkę i prędko kręcić wałkiem, najlepiej porcelanowym, ciągle w jedną stronę. Jeżeli syrop dobrze utrafiiony, pomadka, zwana przez cukierników konserwą, ukreści się bardzo szybko, — chcąc dodać do niej cytryny, maraskina, esencji różanej, lub innego zapachu, trzeba to zrobić, kiedy pomadka już gotowa. Takiej pomadki można przygotować większą ilość, trzymać ją w słoikach, jak sorbety, w razie potrzeby brać po trochu, rozgrzać i lukrować torty; do ciast i pączków rozrzedzić cokolwiek lukier arakiem

i na gorąco smarować nim strucle pędzelkiem lub piórkiem; pączki maczać i zaraz układać na sicie, aby obeschły.

Nr. 4. Syrop, zwany „łamanym“, używa się do obciążania kasztanów, winogron, na karmelki i t. p. Wody bierze się na funt pół szklanki — po zagotowaniu, wziąć miseczkę z zimną wodą, umoczyć w niej drewnienko, a następnie zaraz w syropie i znów w wodzie. Jeżeli odjęty od drewnienka cukier łamie się, syrop jest dobry.

Nr. 5. Tak zwany „karmel“ używa się na rumiany cukier do sosów, do ubierania tortów, do robienia piramid, osmażania migdałów i orzechów. Jest to ostatni stopień gęstości syropu. Próbuje się, jak syrop łamany, a jeżeli kawałek, odłupany od drewnienka, wzięty do ust, nie lepi się i nie przylega — to jest dobry. Używany jako karmel do sosów, musi być zrumieniony mocniej, następnie wlewa się weń kilka łyżek wody, zagotowuje, a po ostudzeniu zcedza w butelkę i używa w miarę potrzeby. Na ten numer syropu bierze się wody tyle tylko, co cukier w siebie przyjmie, ale trzeba bardzo uważać i ciągle mięszać, żeby za prędko nie zrumienił się i nie spalił.

Oprócz lukru pomadkowego, najbardziej dziś do tortów używanego, bardzo dobrym jest także lukier czekoladowy, zwany glazurą czekoladową. Robi go się w sposób następujący: pół litra czekolady waniljowej i pół łyżki masła deserowego postawić w letnim piecu, aby się rozpuściła. Gdy czekolada miękka, rozetrzeć ją łyżką drewnianą, żeby żadnych krulek nie było, rozprowadzić szklanką wody i zagotować, mieszając ciągle, aż się utworzy gęsta, ciągnąca masa; oblać gorącą tort lub biszkopt i postawić w chłodzie do zastygnięcia. Doskonałe są kulki z tartych kasztanów, doprawionych cukrem i arakiem, ukreconych w rękach na kuleczki, wielkości młodego kartofla, następnie wkłutych na cienkie patyczki i maczanych w glazurze czekoladowej. Bardzo ładnie służyć mogą do ubrania bakalijski.

J. S.

SŁODKA CHOINKA

Dawniej, kiedy to każdy dwór wiejski żył pod znakiem samowystarczalności, i z miasta tylko niezbędne, i domowemu wyrobami nie dające się zastąpić, produkty sprowadzano, choinki miały mniej ozdób i błyskotek, natomiast prawie wszystko, co się na nie wieszało, było jadalne i smaczne. Więc przede wszystkim orzechy włoskie, które się teraz kupuje gotowe złocone i wewnątrz puste, złociło się i srebrzyło w domu, używając do tego białka i złota, lub srebra w książeczkach; oczywiście takie orzechy, zdjęte z drzewa ze smakiem się zjadało. Z orzechów laskowych, złoconych i srebrzonych, posklejanych razem robiono śliczne, duże szyszki, również jadalne. Całą choinę oplatały sznury nanizanych na grubą nić, naprzemian oczyszczonych ze skórki, białych, dużych migdałów i czarnych rodzenków „Malagi“. Gdy jeszcze takie migdały czasem się nieco przyrumieniły od zapalonych świeczek, kombinacja tych dwóch bakalijski, przyjemna dla oka, była nadzwyczaj przyjemną i dla podniebienia. Figi i daktyle przywiązywano do długich kolorowych włóczek i pod każdym, lub każdą z nich przymocowywano z teje włóczki chwaścik,

lub pomponik. Najpiękniejsze, drobne, rumiane jabłuszka, starannie przez ogrodnika w tym celu przechowywane, całymi festonami zdobiły choinę; większe sztuki wieszano w taki sam sposób, jak figi i daktyle. Niepoślednią ozdobę stanowiły „wianuszki migdałowe“ i „wiórki heblowe“, przywiązane na kolorowych wstążeczkach. Największy jednak wysiłek fantazji był użyty przy pieczeniu i ozdabianiu pierników. Pierniki pieczono w kształcie zwierząt i ptaków, zabawek i lalek, lukrowano różnymi kolorami i ozdabiano przedziwnie.

Płaskie zaś, toruńskie pierniki ozdabiano naklejanymi obrazkami, takimi błyszczącymi, kolorowymi obrazkami, ze świętym Mikołajem, aniołkami, kwiatkami i motylkami, jakie i dzisiaj dzieci w szkołach z pasją kolekcjonują. Drobne różne słodczyce, makagigi i orzechy, lub migdały prażone, orzeszki piernikowe, cukierki śmietankowe i kawowe karmelki (nic nie gorsze, a może lepsze od modnych „Hopjes'ów“), marmeladki domowe — napełniały papierowe torebki i tekturowe pudełka. Choina aż się gięła od tych smakołyków. Jedyne niejadalne ozdoby na niej

były świeczki w metalowych [lichtarzykach i duża, złocona gwiazda na szczycie. Pod choiną, na mchu zielonym, leżały przygotowane dla każdego z dzieci, rodziny i służby podarki, przyczem każdy miał dużą torbę tych samych słodczy, które zdobiły drzewko, a to w tym celu, aby nie zostało ono zaraz pierwszego dnia ogołoczone z przysmaków, stanowiących jednocześnie jego ozdobę. Dzisiaj już tak jeść i tyle jeść nie potrafią, i choinki, zdobne w kule połyskujące, w sznury błyszczących paciorków, w pomysłowe ozdoby i kartonaże, są dużo strojniejsze; tamte, dawne budzą dziwnie miłe wspomnienie. I między wspomniałymi, połyskującymi wszystkimi kolorami tęczy, ptakami i rybami z dętego szkła, oko szuka z tęsknotą naiwnego konika lub baranka z piernika, gwiazdy z marcepanu z cytrynową pomadką, lub chociażby migdałowego wianuszka.

Pani Elżbieta.

DWANAŚCIE WILIJ

OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO WYKWINTNYCH

- 1) Zupa grzybowa, zabelana z kartoflami. Makaron zapiekany z grzybami. Sandacz pieczony z kwaszoną kapustą na sałatę. Kluski z makiem i miodem.
- 2) Barszczyk czerwony z uszkami gotowanymi. Kapusta duszona z grzybami. Śledzie smażone w klarze, z ćwiartkami cytryny. Kompot ze śliwek suszonych.
- 3) Zupa rybna, zabelana z kluseczkami krajanami. Lin z cebulowym sosem i kartofle z wody. Gołąbki z kapusty z grzybami i ryżem. Kisielek żórawinowy z sytą miodową.
- 4) Kwasek grzybowy, uszka pieczone z grzybami. Kotlety śledziowe, sos pomidorowy. Budyń z kapusty z masłem rumianem. Kruche ciastka z makiem.
- 5) Śledzie marynowane z jabłkami. Czysta zupa grzybowa, uszka grzybowe pieczone. Lin w galarecie, chrzan z octem. Kapusta włoska pod beszamelem. Sielawy smażone z cytryną. Krem makowy i kruche ciastka.
- 6) Sałatka śledziowa. Czysta zupa rybna z pulpetami. Sandacz z jajami, kartofle z wody. Kapusta duszona z grzybami. Karp smażony, sałata zielona sezonowa. Kisielek cytrynowy.
- 7) Sałata włoska z jarzyn w sosie majonezowym. Barszcz czysty czerwony, uszka grzybowe gotowane. Paszteciki z kapusty świeżej, drożdżowe. Karasie zapiekane w śmietanie. Kalafjory z bułeczką i masłem rumianem. Łamańce kruche z makiem.
- 8) Sardynki. Zupa rybna, zabelana z kluseczkami francuskimi. Szczupak faszerowany z sosem chrzanowym, kartofle z wody. Budyń z kapusty, sos śmietanowy. Karp z sosem rodzenkowym. Kompot z suszonych owoców. Kruche ciastka z makiem.
- 9) Przekąski: Śledzie uliki królewskie, łosoś wiślany wędzony, sałatka z selerów z provencalem, pierożki z grzybami gorące z rumianem masłem. Barszcz czysty, czerwony, paszteciki grzybowe w kruchym cieście. Zupa migdałowa z ryżem. Sandacz w galarecie, sos „remoulade”. Kapusta czerwona, duszona z winem. Szczupak smażony „Orły” z cytryną. Kalafjory, sos holenderski „hollandaise”. Kompot z suszonych moreli. Kruche ciastka z makiem i miodem.
- 10) Przekąski: Flondry wędzone, sałatka śledziowa, paszteciki „bouchées” z grzybowym kremem, tartynki z kawiozem. Zupa rybna, zabelana z pulpetami. Sago na winie, Okonie z jajami, kartofle z wody, Kapusta duszona z grzybkami. Łosoś z wody, sos pomidorowy. Szparagi z konserwy po polsku. Sielawy smażone, sałata zielona, sezonowa. Kompot miészany. Kutja z pszenicy z makiem i miodem. Galareta ponczowa.
- 11) Przekąski: Grzyby prawdziwe z konserwy, duszone w śmietanie. Śledzie wędzone, faszerowane. Wątróbki z miętusa w galarecie. Rydze marynowane w oliwie. Zupa czysta, grzybowa, uszka pieczone w półfrancuskim cieście. Zupa migdałowa z ryżem. Leszcz w galarecie, chrzan z octem. Karp po polsku z szarym sosem. Brukselka z grzankami. Szczupak nadziewany, pieczony, sos śmietanowy. Stynki drobne, smażone na rożenkach, cytryna. Kisielek czekoladowy. Śliżyki pieczone z makiem. Kompot z czereśni (konserwa) z maraskinem.
- 12) Przekąski: Śledzie marynowane w oliwie, węgorz w galarecie, jaja w sosie majonezowym, sig wędzony. Zupa czysta rybna z miętusów, kluseczki francuskie. Suflet z ryby z rumianem masłem; (użyć miętusy, ugotowane w zupie). Karasie w śmietanie. Szczupak gotowany w łusce, chrzan z octem.

KTO CHCE TANIO I ŁADNIE UBRAC CHOINKĘ I PRAKTYCZNIE URZĄDZIĆ ŚWIĘTA — MUSI NABYĆ

„OZDOBY CHOINKOWE“ I „POTRAWY WIGILIJNE“

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., które należy przesłać do Administracji „Życia Praktycznego“

Krak. Przedm. 99 przekazem pocztowym, lub na konto P. K. O. 170.

Pasztet ze świeżej kapusty w kruchym cieście.
Sandacz smażony, kartofle smażone, sos zimny „ravigotte“.

Fasolka zielona (z konserwy) z masłem.
Krem orzechowy.

Kompot z suszonych owoców, miészany.
Krucze ciastka i mak z miodem. *Pani Elżbieta.*

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani M. M. Poduszki. makaty, maluje się obecnie specjalną farbą, nadającą się do zwykłego prania. Są to farby prof. Buszka, dostanie ich Sz. Pani w firmie Buroff—Warszawa Nowy-Świat 47. Szale można malować tym samym sposobem, lub farbami spirytusowymi. Maluje się zwyczajnie na stole.

Pani M. J. Myszyńiec. Kozuski, vel serdaki zakopiańskie dostanie Sz. Pani w Warszawie w firmie Chowańczak—Krakowskie-Przedmieście 17, lub najlepiej w Zakopanem, adres—Zakopane Komendzińska. Po porozumieniu listownem—wysłać pocztą.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Entuzjastce z Wielkopolski. Z przyjemnością przeczytałam Sz. Pani list z wyrażeniem wdzięczności i entuzjazmu po przeczytaniu mojej książki „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“. Co do zarzutu w rozdziale o życiu seksualnym, w całości przyznaję uwagi Sz. Pani—nie uwzględniałam i nie przedstawiałam typów naszych mężów „Przychodzą do domu z biura, pracy swej zawodowej i mają tysiące pretensyj do tej przemęczzonej dziećmi, pracą zawodową żony“. Słusznie nie poruszałam tej sprawy, pisząc tylko jednostronnie: do kobiet. Mam zamiar w osobnej książce uwzględnić typy naszych, mężów.

Proszę wszystkie czytelniczki książki „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“, ażeby pod moim adresem skierowały swoje uwagi i pytania, na które z przyjemnością odpowiem na łamach „Bluszczu“, lub w nowym wydaniu tejsz książki. Proszę o szczerść gdyż miłe mi będzie nawiązanie kontaktu ścisłego z moimi, czytelniczkami.

P. Janussowej. W godzinach rannych, pomiędzy 10—12 tą Dr. Świtalska przyjmuje panie przyjezdne i poprzednio zamówione wizyty.

W celu wybielenia twarzy, po opaleniu, należy wytrzeć wodą utlenioną kilka dni z rzędu, następnie wcierać „Mój Krem“.

W. N. Na częste przeziębienie się dziecka należy płókać gardło 2 razy dziennie. Polecam Chinozol—łyżeczka na szklankę wody; również po każdym spacerze płókanie gardła jest konieczne. Dzieciom małym nie mogącym płókać, wpuszczać do nosa prokargol 2^o/_o. Jeśli to nie pomoże udać się do specjalisty—ewentualnie wyciąć przerosłe migdałki.

Alince. W najbardziej uporczywych wypadkach łojotoku skóry—w postaci węgrów i krost—bardzo dobre wyniki daje leczenie „światłem górskim“ które stosować należy, zależnie od indywidualnych właściwości skóry w odpowiednim nasileniu.

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek, jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50 gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu“, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 51

1154. Suknia granatowa wełniana, przybrana barwną aplikacją, kamizelka różowa.

1155. Sukienka karbowana z ponsowego woalu dla dziewczynki czteroletniej.

1156. Suknia brązowa, haftowana złotem i przybrana futrem, wzór haftu na arkuszu wzorów.

1157. Suknia wełniana granatowa, przybrana barwnym galonem.

1158. Sukienka z wełny w kratkę dla dziewczynki dwunastoletniej.

1159. Sukienka kraciasta dla dziewczynki jedenastoletniej.

1160. Kamizelka sukienka koloru lie'de vin, przybrana haftowanymi motywami.

1161. Suknia granatowa z ponsowym przodem, przybrana haftem ponsowym ze złotem, wzór haftu na arkuszu wzorów.

1162. Sukienka wełniana dla dziewczynki siedmioletniej.

1163. Spódniczka układana w fałdy i bluzka z kasha włocha tego dla dziewczynki dwunastoletniej.

1164. Suknia koloru lie de vin, przybrana haftem, wzór haftu na arkuszu wzorów.

1165. Suknia z bolerem z crêpe marocain, koloru rezedowego, ozdobiona haftem. Wzór haftu na arkuszu wzorów.

1166. Szlafrok z lekkiej flanelki, wiązany na aksamitki.

1167. Kombinacja z nansuku, ręcznie haftowana, dla dziewczynki dwunastoletniej.

1168. Bluzka z sukienka wiśniowego, przybrana haftem.

1169. Kombinacja, ozdobiona mereżką, dla dziewczynki ośmioletniej.

1170. Bluzka wełniana koloru rezedowego z białą kamizelką.

1171. Kombinacja z nansuku, lub barchanu dla dziewczynki pięcioletniej.

1172. 4 wzory haftu białego do bielizny.

1173. 6 wzorów haftu i aplikacji do sukien,

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00

formy dzieciinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“ nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



PRZEMYSŁ
MYDLARSKI
i
PERFUMERYJNY

FRYDERYK PULS S. A.

WIERZBOWA 11.